

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 1 czerwca 1952 r.

Nr 22 (340)

W NUMERZE m. in.:

W. KĘTRZYŃSKI — Niczego się nie nauczyli.

D. HORODYŃSKI — Z notatnika podróży po N.R.D.

J. HAGMAJER — W obronie dziecka.

K. SZULC — Sztuka w życiu dziecka.

A. REITEROWA — O chrześcijańską atmosferę.

S. OSTROMĘCKA — Piękno w utworach literackich dla dzieci.

Wielmożne sprawy Boże



El Greco — Zesłanie Ducha Świętego

JERZY LIEBERT

Veni Sancte Spiritus

z „Kotysanki jodłowej“

Nie — iżbym niemoc krył, czuł w sercu lęk,
Gdy chcę, byś na mnie, gołąb — spadł.
Lecz byś wypełnił sobą kształt,
Gdy tu udziałem moim dźwięk.

Jeżeli wzywam spłyń! — to nie, bym zgłuchł
I niemy czekał na słów dar,
Ale bym twoich dopadł miar,
Których nam skąpisz tutaj — Duch!

Ptak Święty, zatocz krąg i lot swój niż,
Ujającemu tu — ślij znak!
Bo niech mi tylko łask twych brak,
Już pusty stoję — ludzki krzyż.

W trzepocie piór, ach, stań i radę nieś.
Żeś fruwały głos — więc mów!
Trzeba, niech grozy doznam słów,
Gdy tu udziałem moim pieśń!

Któryś jest sam wysoki ton i kształt
I z Ojcem, z Synem dzielisz rząd —
Nie daj, bym precz szedł darmo stąd,
Bo chcę, byś na mnie, gołąb — spadł!

(maj 1930).

STAŁ w zacisznym porcie żaglowiec. Przeglądały się w turkusowych wodach jego białe skrzydła. Nad nimi błękit i pod nimi błękit. Sennie kołysał się okręt na lekkich falach przyływu. Spał, bo brakło siły, co byłaby zdolna ruszyć go z miejsca. Nieustanna cisza niosła bezwład ze sobą. Ospałość i rozleniwienie ogarnęły załogę. Niepokój i zniecierpliwienie miały pasażerami. Zaczęła się kruszyć dyscyplina, ład burzyć.

Ale oto zadał lekki wiatr i wiał od ładu. Wzdęły się białe płótna żaglowca. Zachybotał i żywo zakołysał okręt. Życie na nim zawrzało. Rzucił się sternik do steru, zaskrzypiały reje, gorączkowo zaczęły pracować wiosłarze. Zamigotała milionem skier błękitna ląka wód, pasażerowie odetchnęli. Okręt popłynął do celu.

Takim żaglowcem uwięzionym w bezwładzie był Kościół, gdy Chrystus Pan wstąpił do nieba. Takim żaglowcem, zagrożonym w senności jest dusza człowieka, gdy jej nie muska powiew Ducha Świętego. Takim wreszcie żaglowcem, co nie może płynąć do celu, staje się ludzkość, gdy jej są obce ognie Zielonych Świąt.

Bez Ducha Świętego nie ma pełni życia chrześcijańskiego, w ogóle nie ma życia, istnieje tylko egzystencja. Bóg Ojciec stworzył człowieka do życia nadprzyrodzonego, Syn Boży go doń przysposobił, Duch Święty weń wlewa to życie. Duch Święty uzupełnia dzieło Jezusa Chrystusa. Odsłania całkowitą Prawdę, którą Syn Boży objawił, utwierdza ją w duszach ludzkich i wzrost jej daje. Duch Święty uczy, jak korzystać z dzieła Odkupienia i odkupienie sprawuje. „Pożyteczne jest, bym Ja odszedł — pociesza Jezus grono swych uczniów — bo przyślę wam Ducha-Pocieszyciela. On was nauczy wszelkiej Prawdy, z mego weźmie a wam opowie.“ (Jan, 16).

Duch Święty jest u początku każdej społeczności przez Miłość, Duch Święty tworzy każdą doskonałą społeczność i Duch Święty udoskonala jednostkę. Można powiedzieć, że Duch Święty wyklada zasady personalizmu. Jedyne w blaskach Ducha Świętego można należycie uregulować stosunek jednostki do wszelkiej zbiorowości. Duch Święty jest zdrowym oddechem każdego organizmu. Jego wicher porusza

wszelki bezwład i wciąga w rytm zdrowia.

Responsoria brewiarzowe z oktawy Zielonych Świąt w śliczny sposób oddają istotę działania Ducha Świętego: On napełnia serca twórczą, „konstruktywną“ miłością a przez to odnawia oblicze ziemi.

To samo jest treścią pięknego hymnu „Veni Sancte Spiritus“, który się przypisuje wielkiemu papieżowi Średniowiecza, Innocentemu III. Hymn ten w jakiś dziwny sposób zespała w sobie tchnienie wielkiej poezji z wykładem dogmatycznym, prostotę z majestatem nastrój modlitwy z dysertacją, lapidarność stylu z obfitością słów, co płyną jak lawa z gorącego serca.

Autor określa naprzód istotę Ducha Świętego. Jest On Ojcem, bogatym Ojcem tych, co są ubodzy, jest Dawcą darów, jest Światłem serc naszych, jest ich Ochłodą, jest mistycznym Gościem duszy, jest jej wypełnieniem, bo bez Niego panuje pustka i nieuleczalność choroby. „Sine Tuo Numine nihil est in homine, nihil est in noxium“. Działanie zaś Ducha Świętego polega na tym, że oczyszcza, zrasza, leczy, nagina, rozgrzewa, kieruje. Owocem Jego działania jest zbawienie i nieprzemijające szczęście, perenne gaudium.

Ilustracją tego działania jest lekcja Mszy św., skreślona niezrównanym w swej prostocie, niewyszukanym a czarującym piórem św. Łukasza.

Oto kolebka Kościoła-Wieczernik. Zamknęło się w nim kilkanaście osób z lęku przed prześladowaniami. Nie trudno odgadnąć, że przyjdą. Zresztą sam Mistrz je zapowiedział. W czterech ścianach Wieczernika kryją się strach, ułomność, poczucie niemocy, zupełna bezradność. Snuje się nastrój beznadziejności.

Ale z wichrem i w potokach płomienistego światła zstępuje Duch Święty do dusz zebranych. Tłumy, przed którymi się kryli uczniowie skupiły się wokół Wieczernika. A z niego wychodzą teraz uczniowie. Ci sami a inni. Ułomni, zróżnicowani pod względem charakteru i uzdolnień, ale jednako mocni, nieustraszeni, zwycięscy. Jakby moszczem upici, tak sądzą Żydzi, głoszą „magnalia Dei“, co Wujek pięknie tłumaczy „wielmożne sprawy Boże“. Lwy chrześcijaństwa. Ich przemówienia jak piorun rozcinają

serca słuchaczy i je zapalają. Trzy tysiące z nich prosi o chrzest. Biję pierwsza godzina Kościoła na zegarze wieczności. Duch Święty wprawił w ruch nawę Kościoła i przemienił serca, co skłonne były Go przyjąć.

Na tę to pamiątkę powstało przedziwne to święto, najuroczystsze po Wielkiejnocy i po niej najstarsze. Być może, iż obchodzili je Apostołowie, w każdym razie, sięgać musi początków chrześcijaństwa, jeżeli już Tertulian mówi o nim jako o bardzo starym święcie.

Liturgia Zielonych Świąt najbardziej zbliża się do liturgii Wielkiejnocy. Samo święto poprzedzone jest uroczystą wigilią ze święceniem wody chrzcielnej, jak w Wielką Sobotę. Jutrznia zawiera jeden tylko nokturn. Cała oktawa posiada odrębną mszę na każdy dzień.

Różni się zaś tym, że podczas gdy inne święta są rocznicami wydarzeń, związanych z naszym Odkupieniem, to Zielone Święta przypominają nieustanne działanie Ducha Świętego w nas i w Kościele. Jak Jezus Eucharystyczny karmi nas ustawicznie, tak Duch Święty ożywia stale, wlewając w nas prąd łaski, oświecając umysły i otwierając je na przyjęcie Prawdy objawionej.

Toteż przez cały rok przy każdej okazji powtarzamy modlitwę dnia zielonościętecznego.

„Boże, coś serca wiernych pouczył światłością Ducha Świętego,

spraw, byśmy w tymże Duchu poznawali co dobre, a pokrzepieni przez Niego, zawsze się w Nim weselić mogli.“

Duch Święty daje nam bowiem to, co się nazywa „Sensus divinus“. Ten „smak rzeczy Bożych“ pochodzić może tylko od Boga. On daje właściwe spojrzenie na świat, On nam objawia przez twórcze tchnienie właściwy sens życia. Dzięki temu wewnętrznemu oświeceniu poznajemy nieomylnie co jest dobre i sprawiedliwe. Jeżeli zaś za tym natchnieniem idziemy w życiu, wtedy dołącza się do nas wesele ducha, a każdy trud i wysiłek sprawiają nam radość i zadowolenie.

W ten sposób działa w nas i w Kościele Duch Święty i to są owe „magnalia Dei“ — „wielmożne sprawy Boże“.

LOS DZIECI GRECKICH

Z ANKIET przeprowadzonych przez delegatów ONZ wynika, że wartość dziennego pożywienia robotnika greckiego wynosiła przed wojną 2.000 do 2.200 kalorii. Składała się ona przede wszystkim z jarzyn, chleba, oliwek i małej ilości oleju.

W Grecji średnia spożycia mięsa wynosiła 10,5 kg na głowę rocznie, czyli 1/5 spożycia mięsa w innych krajach, spożycie mleka 39 kg, czyli 1/3 lub nawet 1/4 w stosunku do innych krajów.

Średnia długość życia Greków waha się od 30 do 35 lat, czyli jest mniej więcej o 20 lat mniejsza niż w innych krajach.

Wskutek ogromnego spadku waluty greckiej, robotnik przy obecnej siatce płac wydaje od 60 do 70% swych zarobków na żywność wynoszącą nie więcej niż 1500 kalorii dziennie. 64% tych kalorii pochodzi ze spożywanych codziennie kartofli i chleba.

Pismo amerykańskie „Selection“ pisze w numerze grudniowym 1951 r.: „Większa część ludności w Grecji żyje w warunkach granicznych z nędzą... Jak Grecy mogą pracować jedząc tak mało?”

Ale nawet ta, tak skromna ilość niedostępna jest dla bezrobotnych, których cyfra wynosi obecnie 350.000.

Jak w tej sytuacji wygląda los dziecka greckiego?

GŁOSY CUDZOZIEMCÓW

P. MAURICE Pight, z ONZ stwierdza:

„Zdrowie narodu greckiego jest zagrożone. Żywotność obywateli kraju niszczy się bardziej, niż sobie z tego zdajemy sprawę. Wielka ilość dzieci niedożywionych cierpi na gruźlicę“.

Pastor Edwards, australijski delegat Międzynarodowej Organizacji Niesienia Pomocy Dzieciom przy ONZ pisze:

„Tragiczne dziedzictwo zostawione przez wojnę Grecji wyraża się dziesiątkami tysięcy zgłodniałych i obdartych sierot. Organizacje opieki społecznej nie są w stanie użyć całej tej nędzy. 6.000 tych małych nieszczęśliwców straciło ręce lub nogi, 1.000 cierpi wskutek przybytej Heine-medina, a 3.000 zapadło na gruźlicę kości“.

William Bates, członek komisji wyżej wymienionej organizacji przy ONZ składa takie sprawozdanie w Londynie:

„Warunki życia dzieci w Grecji są najniebezpieczniejsze z całej Europy. Dlatego też — dodaje on — komisja ONZ dla opieki nad dziećmi, powinna w tym roku również wysłać do Grecji mleko skondensowane. W tej chwili tylko trzy kraje europejskie potrzebują jeszcze pomocy: Grecja, Włochy i Jugosławia. Inne kraje jak: Rumunia, Węgry, Czechosłowacja i Polska już jej nie potrzebują“.

DZIECI ZAROBKUJĄCE NA ULICACH ATEN

DZIECI usiłujące zarobić na chleb — zaledwie na chleb — pracują po 12 do 14 godzin dziennie.

„Oto 12-letni Makis Lymberopoulos. Stoi na rogu dwóch ulic przy skrzyżce pełnej bochenków chleba, które rozsprzedaje. Pracę swą rozpoczyna o świcie, a kończy ją już po zapadnięciu nocy. Makis pracuje codziennie po 16 godzin. Dostaje za to od swego pracodawcy 25 tysięcy drachm i bochenek chleba.“

„...I takich dzieci jest wiele, bardzo wiele. Każde z nich ma swoją historię. Każde z nich nosi w sobie tragedię. A wszystkie razem tworzą wielki dramat dzieciństwa, które przed poznaniem radości życia, zaznało cierpienia...“

„Pracuję w warsztacie budowy maszyn w Chalkis. Po sześciu latach pracy otrzymuję 20.000 drachm dziennie. Z tego płacę 1.500 na ubezpieczenie społeczne. Pozostaje mi 18.500. To musi mi wystarczyć na utrzymanie siebie i rodziny...“

„Jestem młody, nie odbyłem jeszcze służby wojskowej. Chlebodawcy obchodzą się z nami, małymi, jak im się podoba. Ani razu jeszcze nie miałem płatnego urlopu, ani razu gratyfikacji... Nieraz jesteśmy bici. Ghikas Saganis o mal nie został zabity niedawno przez swego szefa...“

(„Dimokratiki“ 22.12.1951).

Ten sam dziennik pisze w innym miejscu:

„10% robotników — to młode, niepełnoletnie dziewczyny, a stan zdrowia 60% robotników pozosta-

ką rozmaitych prywatnych towarzystw dobroczynności, reszta zaś, tj. około 300.000 sierot, jest pozostawiona własnemu losowi i wydana na pastwę wszelkich niebezpieczeństw, demoralizacji, chorób i stałej nędzy“.

„Małe dzieci wałęsają się dzień i noc żóbrząc, po wszystkich ulicach Aten — są one predestynowane na przyszłych przestępców. Małe dziewczynki, w wieku od 10 do 15 lat pod pozorem sprzedaży kwiatów, prowadzą życie prostytutek, włócząc się w godzinach nocnych po kawiarniach, kabaretach itp.“

Smutny widok, jaki przedstawiają ulice Aten, gdzie roją się nocami bezdomne dzieci, jest przedmiotem następujących uwag Marka Marceau, korespondenta francuskiego „Le Monde“ z dn. 13.II. 1950 roku:



Fotokopie z „Athioniki“ 1-12. 1951, przedstawiające nędzę robotniczych rodzin w Grecji.

wła wiele do życzenia. Dziewczętom płaci się 11.000 drachm (2 zł 40 gr) dziennie. Tak więc w dwóch fabrykach papierosów pracuje 600 dziewcząt w wieku od lat 12 do 16 — otrzymują one po 11.000 drachm dziennie. Werbuje się je jako niewykwalifikowane robotnice do klejenia pudełek, a używa do ciężkiej pracy przy pakowaniu towaru“.

BRAK SZPITALI I PREWENTORIÓW

W CAŁYM kraju są setki tysięcy dzieci zagrożonych gruźlicą. Dla tych dzieci jest tylko jedno prewentorium na przedmieściach Aten, na 50 kózek.

Poza dziesiątkami tysięcy dzieci chorych na gruźlicę płuc i setkami tysięcy dotkniętych tuberkulicznymi schorzeniami migdałów jest jeszcze 3.000 dzieci cierpiących na gruźlicę kości.

Oto co o nich mówi pastor Edwards z Międzynarodowej Organizacji Pomocy Dzieciom przy ONZ:

„Dla chorych na gruźlicę kości jest jeden szpital Czerwonego Krzyża w Voula. Gdyby szpital ten przestał przyjmować napływające podania o przyjęcie na leczenie, potrzeba by mu było 60 lat od chwili obecnej, ażeby zadośćuczynić wszystkim złożonym już podaniom!“

(„Athinaiki“ 5.9.1951).

SIEROTY W GRECJI

ZGODNIE z komunikatem ministerstwa opieki społecznej z kwietnia 1949 roku, w Grecji jest 340.000 sierot. Z tych, jak podaje dziennik „Eleftheria“ w dn. 14.9.1949 r.:

„...15.000 znajduje się w sierocińcach, 30.000 otrzymuje „zapomogę sierocą“ lub jest pod opie-

czą się tam niemowląt. Dochodzenie stwierdziło, że na 44 nie mowląt przyjętych w 1949 r. do zakładu 39 zmarło, dwoje walczy ze śmiercią, jedno jest zdrowe, a dwoje w dobrym stanie, gdyż poprzednio karmiła je matka.“

Prokurator Pireusu... nazwał żłobek stacją tranzytową do śmierci. („Kathimerini“ 20.1. 1950).

Inny dziennik tak opisuje ten sam żłobek:

„Niemowlęta stłoczone są w 15 pokojach, po 30 w każdym. Wspólną cechą właściwą tym pokojom jest straszliwy, bijący w nos już u wejścia fetor.“

Widok jest okropny. Wystarczy spojrzeć na te wymizerowane, wychudzone twarzyczki dziecięce, aże by poznać warunki ich życia. Niektóre pokryte są wyrzutami, czasami jest ich dwoje w jednym łóżeczku, a wszystkie są śmiertelnie blade. Te małe istotki są stale uwężnione w łóżeczkach, w potwornym brudzie. Nawet starsze są mocno ściśnięte w powijkach. Personel wyjaśnia: jest to najlepszy sposób przechowania przez kilka godzin hermetycznie zamkniętych „ekskrementów“ bez zawalania podłogi! Nie ma dosyć pieluszek do zmiany. Lecz co jest naprawdę zgubne dla ich zdrowia i rozwoju, to stale i niezmiennie leżąca pozycja. Jest to prawdziwe męczeństwo tych małych więźniów, którzy w wieku roku lub dwóch lat ulegają gwałtownym atakom nerwowym. Rzucają się między prętami swych łóżeczek, jak zwierzątka w klatkach, i to nieraz z taką siłą, że je wyłamują“

„Vinne“ 14.9. 1950)

PRZESTĘPCZOŚĆ I DEMORALIZACJA WŚRÓD DZIECI

ZAGADNIENIEM coraz bardziej nurtującym społeczeństwo greckie — to wzrost przestępczości i demoralizacji wśród dzieci. Podajemy tu kilka faktów, od opisów których roi się codzienna prasa ateńska:

„Wzrost przestępczości wśród dzieci potęguje się w temple przerażającym; podwyższyła się ona dziesięciokrotnie od czasów przedwojennych. Mordy, kradzieże, włamania, demoralizacja przyczyniają codziennie masę kłopotów władzom...“

(„Kathimerini“ 15.8. 1951).

Dziennik „Eleftheria“ z dn. 7.12. 1951 r., zastanawiając się nad przyczynami przestępczości i demoralizacji wśród dzieci, pisze:

„... Drugą przyczyną (pierwszą jest wojna) to wielka nędza społeczna panująca w Grecji. Nę-

dzia jest wielka i rozpowszechniona i ona to jest źródłem zła. Jeżeli 4, 5 i 6 członków rodziny zamieszkuje jeden pokój, dzieci są przedwcześnie uświadomione, bracia i synowie zapominają, że mają do czynienia z siostrami i matkami...“

Tym samym problemem zajmuje się dziennik „Embros“ z dn. 27.11. 1951 r., i podając ankietę o wpływie filmu gangsterskiego, pisze:

„... Każdy film gangsterski jest wykładem zbrodni. Czym się kieruje prawo, pozwalające dzieciom powyżej 14 lat uczęszczać na filmy nieodpowiednie? Nauka zbrodni, gwałtu, fałszerstwa, złodziejstwa i wszystkich innych czynów karalnych odbywa się tutaj bardzo zrecznie i ściśle naukowo... Kino jest najlepszym profesorem przyszłych gangsterów. W ostatnich czasach popełniono szereg zbrodni. Autorzy ich zeznali, że popełnili je pod wpływem filmów gangsterskich, nie dawno oglądanych na ekranach“.

„Przed 20 dniami, 18-letni bezrobotny, w czasie największego ruchu, o godz. 9.20 wieczorem, wyrwał z rąk kasjerki kina „Rex“ 470.000 drachm; przyszedł się, że uczynił to pod wpływem filmu, oglądanego przed tygodniem w jednym z kin ateńskich. A film ten przedstawiał urozmałcony żywot znanego zbrodniarza Dillingera, który rozpoczął swą karierę gangstera od okradzenia kasy pewnego kina w Chicago“.

W dzienniku „Ethnikos Klirix“ z dn. 9.I. 1952, znajdujemy taką krótką notatkę:

„17-letni N. H. zgwałcił 13-letnią L. H.; twierdzi on, że działał pod wpływem filmu, oglądanego tegoż wieczoru, w którym grał gwiazdy ekranu — John Hall i Maria Montez“.

Filmy gangsterskie i pornograficzne stanowią repertuar wszystkich kin ateńskich. Oto kilka tytułów filmów, wyświetlanych w jednym dniu na ekranach ateńskich: „Zabroniona droga“, „Morderca nocny“, „Kochałam zdrajcę“, „Przeklećcie nie placzą“, „Dlaczego zabiłem“, „Płomień i nienawiść“, „Pragnienie namiętności“, „Pogrążona w grzechu“, „Plamy na bruku“, „Miasto orgii“, „Gra śmierci“ itd.

Dyrektor policji ateńskiej D. Vra nopolus oświadczył:

„Niestety, prawo nie wystarcza i choćby było jak najsurowiej stosowane, nie zmieni biegu rzeczy. Gangsterskie filmy i pornograficzne wydawnictwa mają zgubny wpływ na młodzież. Oplerając się na moim zawodowym doświadczeniu stwierdzam, że wielka ilość młodzieży weszła na złą drogę pod psychologicznym wpływem filmów, przedstawiających działalność różnych zbrodniarzy“.

zestawiła J. K.

SKŁAD JURY NAGRODY IM. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA

Ks. prof. dr Eugeniusz Dąbrowski, Wiceprzewodniczący Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju, laureat Nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka z ubiegłego roku.

Ks. prof. dr Stanisław Huet, Prodziekan Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego, profesor teologii moralnej.

Rektor dr Tadeusz Lehr-Splawiński, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wiceprzewodniczący Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju.

Prof. dr Konrad Górski, profesor Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika
Prof. dr Kalikst Morawski, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
Mieczysław Kurzyna, dyrektor Liceum Ogólnokształcącego pod wezwaniem św. Augustyna.

Andrzej Krasiński, członek redakcji tygodnika „Dziś i Jutro“.

Zebrań jury odbędzie się dnia 5 czerwca b.r. w Warszawie.

Wojciech KETRZYŃSKI

NICZEGO SIĘ NIE NAUCZYLI..

NIE można powiedzieć, by Polska była w chwili obecnej modnym i częstym tematem dla propagandowej publicystyki na zachodzie. Przeważnie panuje na nasz temat charakterystyczne, zakłopotane milczenie. O naszych osiągnięciach bowiem pisać nie wolno, zaś oszczerstwa, jakimi się chętnie posługuje prasa kapitalistyczna w stosunku do krajów demokracji ludowej, są przeważnie tak małego kalibru, że starczą najwyżej na wypełnienie drobnych, sensacyjnych i przez nikogo poważnie nie branych rubryk.

Ostatnio jednak ta zmowa milczenia została niespodziewanie przełamana. Artykuły zaczęły się spychać jeden po drugim w prasie angielskiej, francuskiej, szwajcarskiej...

Przedmiotem tak żywego zainteresowania niektórych publicystów zachodnio-europejskich stały się ni mniej ni więcej tylko sprawy Kościoła Katolickiego w Polsce. W chwili podpisania układu o Porozumieniu między Kościołem a Państwem, w kwietniu 1950 roku — prasa zachodnia milczała jak grób. Tu i ówdzie przebąkiwano najwyżej o jakichś „niesprawdzonych pogłoskach“, ostrzegano opinię publiczną przed rzekomą „mystyfikacją“. Gdy jednak okazało się najdobitniej, że układ ten nie jest ani pogłoską, ani mistyfikacją a tylko faktem o wielkim ciężarze gatunkowym, nie znalazł się w prasie kapitalistycznej taki odważny, który by sobie pozwolił na rzeczowe przeanalizowanie tego dokumentu i podanie swym czytelnikom narzucających się, obiektywnych wniosków.

Po dwóch latach, najwidoczniej, nie można było już dłużej milczeć. Fakty, zasze na tym odcinku w Polsce, były zanadto wymowne. Nie była to jednak jedyna przyczyna zmiany taktyki. Zachód Europy, pod twardą ręką generałów amerykańskich zamienia się powoli w obóz wojenny. Narody, w myśl tych planów, mają być mocno ujęte w karby dyscypliny, którą inaczej, jak słowem dyktatury amerykańskiej określić nie można. W myśl tych samych planów katolicyzm na zachodzie Europy winien tej dyktaturze dać najwyższą sankcję moralną. Wszyscy winni wiedzieć i uznawać, że nie w obronie materialnych interesów świata kapitalistycznego lecz w imię, i w oparciu o religijny autorytet katolicyzmu będzie się mobilizować Europejczyków do walki z ideami socjalizmu. Trzeba więc sterroryzować i zmusić do milczenia tych wszystkich wśród katolików zachodnich, którzy bądź to twierdzą, iż kapitalizm nie ma prawa odwoływać się do autorytetu Kościoła, bądź też ośmielają się nawet głosić iż sama idea „krucjaty“ zachodu przeciw wschodowi jest oparta tylko na zakłamaniu kapitalistycznej propagandy.

Udowodnić, iż los Kościoła Katolickiego w świecie socjalizmu nieodwrotnie wymaga wojny prewencyjnej, zasugerować, że konieczność natchmiasłowej interwencji w obronie Wiary wymaga zastosowania najbardziej bezwzględnych środków zniszczenia w stosunku do przeciwników, środków wojny totalnej, łącznie z bronią atomową, bakteriologiczną — oto zadanie, jakie dziś stoi przed prasą na usługach ideologów trzeciej wojny światowej.

Gdy podobne sugestie wypływają z typowych kół wielko-kapitalistycznych, ze środowisk giełdżarskich, z kręgu królów armat — stanowią one rzecz można, chleb powszedni. Gdy jednak w sukurs im przychodzi część prasy katolickiej na zachodzie — stwarza to dla nas, katolików polskich poczucie dużej

odpowiedzialności moralnej. Potrafiśmy odróżnić publicystykę katolicką od tej, która się po prostu i tylko pod to miano podszywa, by żerować na konserwatywnym myślowym niektórych katolickich środowisk. Istnieje jednak również i taka publicystyka katolicka, która, omotana panującą wokół niej atmosferą reakcyjności, świadomie bądź też nie świadomie, przysługuje się propagandzie kapitalistycznej, szerząc wokół sądy tendencyjne, lub wręcz kłamliwe o postawie katolików polskich. Redaktorzy jej bowiem nie tylko nie wierzą w perspektywę istnienia Kościoła w świecie socjalistycznym, lecz się jej po prostu obawiają. Gdyby bowiem taka perspektywa powstała, świat ich pojęć społecznych zawałił by się w gruzy.

Ze taką właśnie, społecznie wsteczną rolę, odgrywa wśród katolików angielskich konserwatywny tygodnik katolicki „Tablet“, wiadomo od dawna, że podobną rolę odgrywa często we Francji dziennik „La Croix“, o tym niestety także wiemy. Dlatego wypowiedzi tych pism na tematy polskie nie mogą nas zaskoczyć. Nie mogą one w żadnej mierze angażować autorytetu Kościoła a reprezentują ostatecznie tylko najbardziej mieszczańską i konserwatywną część katolickiej opinii publicznej na Zachodzie. Bolesniejsza była natomiast niespodzianka, którą sprawił nam dominikański miesięcznik „Vie Intellectuelle“, zamieszczając na swych łamach obszerny a bardzo nierzetelny artykuł o sprawach katolickich w Polsce. „Vie Intellectuelle“ jest bowiem miesięcznikiem o pięknych tradycjach, który się na niejednym odcinku przyczynił do obudzenia postępowych sił w katolicyzmie francuskim. Tym razem jednak zawiódł, lub też, co jest bardziej prawdopodobne, uległ przemożnemu naciskowi reakcji.

JEDNOCZEŚNIE jednak mamy do zanotowania i niespodziankę radosną. Na łamach „Esprit“, które od śmierci Mouniera wiele straciło na swym dawnym duchu przebojowości, ukazał się obszerny artykuł o katolicyzmie polskim, pióra P. Lentin, młodego publicysty katolickiego, który w zeszłym roku miał okazję osobiście Polskę odwiedzić. Jakkolwiek krótki pobyt nie pozwolił mu rzecz oczywista zgłębić wszystkich problemów naszej rzeczywistości — artykuł ten, mimo pewnych braków, stanowi próbę odważnej i uczciwej analizy świata i cieni katolicyzmu polskiego w chwili obecnej.

Nie zamierzamy zajmować naszych czytelników wyliczaniem sfałszowanych czy też czasami wręcz kłamliwych danych, na jakich opierają się anty-polskie wystąpienia publicystów z „Tabletu“, „La Croix“ czy „Vie Intellectuelle“. Wspomniemy tu tylko, że specjalistą od polskich spraw katolickich na łamach „Tabletu“ jest p. Łada, emigrant polityczny, przedstawiciel najbardziej reakcyjnych kół naszej emigracji, co już samo przez się świadczy o jakości jego argumentów. Pragniemy natomiast zwrócić tu uwagę na pewne generalne linie kierunkowe tych wszystkich wystąpień, gdyż charakteryzują one najdobitniej wytyczne propagandy, która tę publicystykę reżyserowała.

Przed wszystkim więc trzeba stwierdzić, iż przez wszystkie te wypowiedzi przebiega ledwo zauważalna nuta rozczarowania i niepokoju, że Porozumienie między Kościołem a Państwem dało rzeczywiste korzyści dla Kościoła, — jego aktywności religijnej i przekreśliło wielokrotnie i hałaśliwie zapowiedzi o „nie-

uchronnym generalnym prześladowaniu ludzi wierzących w Polsce“. Tak więc z pewnym zażenowaniem przyznaje p. Retel, autor artykułu z „Vie Intellectuelle“, że „Na razie nie możemy się spodziewać w Polsce efektywnych, głośnych prześladowań“. Wtórąje mu p. Łada na łamach angielskiego „The Tablet“, stwierdzając że „Działalność Kościoła w Polsce... pozostaje niezmienną, jeżeli chodzi o wypełnianie obowiązków kapłańskich. Klerem rządzi Episkopat... Nabożeństwa odbywają się swobodnie a nawet zewnętrzne procesje rzadko napotykać na trudności“. Przyznać trzeba, że jak na artykuł, mający na celu terroryzowanie bardziej postępowej części katolickiej opinii publicznej na Zachodzie — zastrzeżenia są bardzo istotne!

Tu jednak kończy się miara obiektywizmu naszych publicystów. Skoro nie można zabrać w wielkie surmy „efektywnych prześladowań“ — trzeba krecią robotą podkopać samą ideę, na której oparł się podpisany dwa lata temu akt Porozumienia między Kościołem a Państwem. I nie o to też chodzi, iż polityka nakreślona aktem Porozumienia jest drogą trudną, biorąc pod uwagę rozbieżności światopoglądowe, i że trudności te są raz po raz sygnalizowane w naszym życiu publicznym, tak w oświadczeniach strony rządowej, jak i Episkopatu. Jak bowiem słusznie podkreśla Lentin w artykule w „Esprit“ — „Jeśli zachodzą wypadki, że obie strony wzajemnie oskarżają się o naruszenie punktów Porozumienia to nie istniało nigdy niebezpieczeństwo rozwiązania tego układu i żadna strona poważnie o tym nie myśli. Obaj partnerzy wiedzą doskonale jakie usługi może im oddać ten instrument, który jednocześnie służy sprawie pokoju wewnętrznego, leżącego w interesie jednych i sprawie pokoju religijnego, tak ważnego dla drugich... Bilans dotychczasowej współpracy Kościoła i Państwa w ramach Porozumienia z dnia 14 kwietnia 1950 r. jest wyraźnie dotatni, jeśli wziąć pod uwagę, że w punktach stycznych zbliżenie było bardzo owocne, podczas gdy punkty sprzeczne nie doprowadziły do zerwania, lecz objawiały się wyłącznie pod postacią trudności, które obie strony rozwiązywały lepiej lub gorzej“.

TAK więc spekulowanie na trudnościach nie daje rezultatów. Nie sposób zaprzeczyć, i potwierdzają to właśnie reakcyjne artykuły na temat sytuacji Kościoła w Polsce, że Porozumienie pozostaje nie tylko wytyczną wiążącą dla postępowej większości katolików, ale wręcz pozytywnym elementem naszej rzeczywistości. Najbardziej określonymi drogami próbuje więc ta publicystyka omniać groźną przeszkodę. Argumentacja wszystkich trzech publicystów — „The Tablet“, „La Croix“ i „Vie Intellectuelle“ sprowadza się w tym zakresie do dwóch typowych sugestii:

pierwsza — że Kościół poszedł w Polsce na chytrą grę, mającą na celu oszukanie władz Polski Ludowej,

druga — że mimo wszystko, wcześniej czy później dojdzie do najostrejszych konfliktów, że polityka zachodnia, wybacząc Episkopatowi polskiemu jego taktykę, może już dziś usprawiedliwiać swą wojowniczą aktywność perspektywą nieuchronnego konfliktu, jaki u nas nastąpić musi.

Oczywiście nie potrzeba dodawać komentarza, by uzmysłowić wszystkim w jakim świetle moralnym stawia ta publicystyka Episkopat

Polski i całą katolicką społeczność w naszym kraju.

Jest na tym tle momentem niezmiernie charakterystycznym, że artykuł z „Vie Intellectuelle“ dwukrotnie nawraca do wywiadu, udzielonego przez Prymasa Polski „Tygodnikowi Powszechnemu“, w którym, z całym autorytetem uznał Prymas Polski — oczywisty fakt istniejącego jednolitego stanowiska całego społeczeństwa w sprawie polskich Ziemi Zachodnich. Wypowiedź tę określa pan Retel jako „koncesję“, jako taktyczny unik ze strony katolickiej, spowodowany ściśle koniunkturalnymi, praktycznymi względami. W tym samym świetle przedstawia p. Retel takie akty ze strony katolickiej, jak podpisy pod Apelem Sztokholmskim, udział w Plebiscycie Po koju, subskrypcję Pożyczki Narodowej, protesty przeciw remilitaryzacji Niemiec. Idący po tej samej linii komentarz p. Łady w „The Tablet“, wspominając pozytywny stosunek Episkopatu Polski do powyższych akcji, stwierdza w sposób jednoznaczny: „Jest rzeczą wysoce nieprawdopodobną, aby katolicy polscy mogli w jakikolwiek sposób być przez te akty wprowadzeni w błąd“.

Sprecyzujmy sami o co tu chodzi. Na pewno nie o to, że kategoryczna postawa społeczeństwa tworzy drogę aktom urzędowym i że aktywny udział katolików w Ruchu Pokoju wyprzedził podpisy złożone przez Biskupów pod Apelem Sztokholmskim, czy Plebiscytem Pokoju, że „Tygodnik Powszechny“ dając wyraz jednolitej postawie katolików w obronie Ziemi Zachodnich — potwierdzał to stanowisko, które wyraził jednoznacznie i z mocą zjazd wrocławski. Tu chodzi o coś wręcz odwrotnego, o sugestię, iż wszystko, co czynią katolicy w Polsce jest bluffem mającym na celu ukrycie wstecznej, reakcyjnej linii postępowania. Piękni przyjaciele panowie Łada i Retel — nieprawdaż?

Jednocześnie z imputowaniem katolikom polskim taniego machia welizmu w ich postawie w życiu publicznym ci sami publicyści skwapliwie sugerują swym czytelnikom, że nie nie odwróci nieuchronnego konfliktu między Kościołem a Państwem. „Schizma“, „kościół narodowy“, „tendencje rozłamowe“, są to słowa, które nie schodzą ze szpałt tej swoistej publicystyki katolickiej. Warto chwilę zatrzymać się nad tą argumentacją.

JEST rzeczą wiadomą, że katolicyzm polski jest do głębi przesiąknięty świadomością Jedności i Powszechności Kościoła. Nasza kultura katolicka należy do tych, wśród których nie zanotowano żadnych poważniejszych tendencji ani w kierunku wypaczenia doktryny Kościoła, ani w kierunku wyłamania się spod religijnego autorytetu Stolicy Apostolskiej. Było by najoczywistszym absurdem twierdzić iż istnieje dziś w Polsce ktokolwiek chętny do próbowania takich, nieprawdopodobnych eksperymentów. Jest również rzeczą oczywistą, iż żaden ucziwy katolik nie może sugerować bratniej społeczności katolickiej podobnych perspektyw. Czyż można jednak traktować inaczej insynuacje takich ludzi jak p. Retel czy p. Łada, niż jako wyraz najbardziej cynicznego planu skłócenia narodu polskiego. Jest to zachęta amerykańska do zerwania Porozumienia, przez szerzenie sugestii, że Kościołowi grozi wewnętrzne rozłucie, że zagrożony jest najistotniejszy element religii — jej jedność wewnętrzna.

Powiedziano kiedyś, że podstawo-

wym warunkiem wywołania wojny — jest stworzenie powszechnego przekonania, że jest ona nieunikniona. Dziś znajdujemy się w obliczu manewru, dążącego do stworzenia wśród katolików polskich przeświadczenia, iż nieunikniony jest rozłam w katolicyzmie. Tak oto, na gorącym uczynku złapaliśmy tych, którzy rzeczywiście dybą przeciw żywotnym interesom Kościoła! Jeśli by kiedykolwiek pojawiły się próby prowokowania schizmy, czy innego rozłamu wewnętrznego, to tylko dlatego, że przynosić je nam będzie bakcył zachodniej, kapitalistycznej propagandy. Cóż jej bowiem szkodzi, że katolicyzm będzie płacił za ten manewr, jeśli można nim będzie zamydlić oczy jeszcze paru milionom ludzi i zapędzić ich w szeregi generała Ridgwaya?

Świadomość skąd i w jakiej formie to niebezpieczeństwo może nam zagrażać będzie nas chronić przed jego skutkami. Katolicy polscy na podszepty zachodniej propagandy nabrać się nie dadzą, jedności Kościoła Katolickiego zerwać nie pozwolą. Cynizm w ostateczności zawsze obraca się przeciw swym własnym wyznawcom!

Szantaż „na schizmę“ ma zresztą i inny aspekt. Chodzi o to, by stworzyć atmosferę, w której można by łatwo potępić jako wyraz religijnego odstępstwa wszystko, co nie jest wyrazem reakcyjnej postawy politycznej.

W Polsce są wśród katolików rozbieżne sądy polityczne. Porozumienie jest aktem o wymowie zarówno światopoglądowej jak i politycznej. W tej mierze, w jakiej jest problemem politycznym istnieją i istnieć będą rozbieżności wśród katolików. Dla nas obowiązująca postawa to pełne, konsekwentne realizowanie Porozumienia. Z tymi dla których jest ono tylko eksperymenterstwem, czy też dojrztowaniem — nie mamy nic wspólnego, lecz to w najmniejszej mierze nie narusza jedności Kościoła ani zasady poszanowania religijnego autorytetu Hierarchii.

Całość publicystyki na Zachodzie, rozwijającej się ostatnio wokół spraw katolicyzmu polskiego musimy określić jako jedną wielką prowokację, mającą na celu z jednej strony stworzenie w Polsce, między Kościołem a Państwem atmosfery najwyższej nieufności, choćby za cenę zakwestionowania uczciwości katolików, Episkopatu i Prymasa Polski, z drugiej zaś strony, na tym samym tle skłonić najszersze rzesze katolickie na Zachodzie do poparcia idei anty-socjalistycznej krucjaty atomowej i bakteriologicznej pod naczelnym dowództwem amerykańskich kapitalistów.

Jest jednak najbardziej tragicznym zjawiskiem, że pewne pisma katolickie na Zachodzie dają się używać za narzędzie dla tak nikczemnej roboty, uderzającej w podstawowe interesy Kościoła Katolickiego i całej ludzkości. Wyłamaniem tego stanu rzeczy może być tylko fakt, iż w rzeczywistości ani p. Retela, ani p. Łady, ani podobnych publicystów nie można w istocie uważać za pisarzy katolickich, a tylko za agentów obcej, amerykańskiej propagandy.

Wierzmy, że ten głos protestu i ostrzeżenia dotrze do uczciwych publicystów i redaktorów pism katolickich na Zachodzie i skłoni ich do zastanowienia się nad konsekwencjami oddawania swych łam dla tego rodzaju publicystyki. Wiemy, że sprawy polskie stanowią i słusznie przedmiot zainteresowania dla ka-

(Dokończenie na str. 11)

PIERWSZE słowo w języku niemieckim usłyszeliśmy we Frankfurcie. Młody celnik przejrzał nasze paszporty. „niechciał się i salutując powiedział: „Freundschaft“. Słowo to towarzyszyło nam przez cały pobyt w NRD.

Nigdy nie byłem w Niemczech i przyznam, że gdy w pierwszych dniach naszej wizyty spotkali Niemcy zapytywali mnie uprzejmie: „czy był pan już w naszym kraju?—miałem nieodpartą ochotę odpowiadać: „nie, ale Niemcy byli w Polsce“.

Dobrze się stało, że słowo „Freundschaft“ rozpoczęło nasz nowy kontakt z mową, o której, niestety, zmuszeni byliśmy zapomnieć, że była mową Goethego, a pamiętamy aż nadto dobrze jak brzmiała w ustach esesowców i gestapo. I nie ma powodu ukrywać, ani przed sobą ani przed przyjaciółmi niemieckimi, że dla każdego Polaka pierwszy przyjazd do Niemiec jest i musi być trudnym przeżyciem. Nie sposób obronić się przed ponurymi skojarzeniami, które napływają budzone nie tylko dźwiękiem języka niemieckiego.

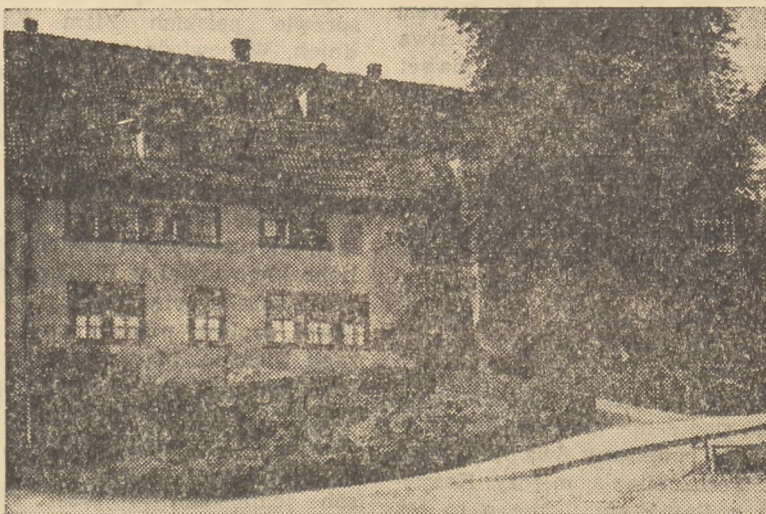
Pamiętam, gdy zwiedzaliśmy jeden z domów pionierów i młodzież o uczciwych, jasnych twarzach uszeregowana w szpalery witała nas machając swymi błękitnymi chusteczkami, naszło na mnie takie zło wspomnienie innej niemieckiej młodzieży w inny sposób wyciągającej ręce ponad głowy; pamiętam, jak zamieniliśmy skosternowane spojrzenie z Panufnikiem, gdy burmistrz Nordhausen przedstawił się nam: „Himmler jestem“; pamiętam, lecz po co mnożyć przykłady, które dowodzą tylko, jak bardzo ciężko nad nami zła przeszłość, wszyscy wiemy o tym dostatecznie dobrze.

Ale, będąc w Niemczech, może się lepiej rozumie ile trzeba wykonać pracy, ile trzeba dobrej woli z obu stron Odry i Nysy, by przyjaźń Polski z nowym — ten

„szlampowaty“ przmiotnik najlepiej jednak oddaje istotę zmiany — narodem niemieckim stała się trwałym czynnikiem polityki i życia naszego narodu. Rozumie się to dlatego lepiej, że ma się możliwość skontrolowania, jak mocne i żywe jeszcze są nasze własne kompleksy i jak — choć zrozumiałe — są one z reguły niemal krzywdzące. Skrzywdziłem nieumyślnym skojarzeniem młodych pionierów, którzy całym swym życiem chcą zadośćuczynić zbrodniom Hitlerjugend, skrzywdziłem burmistrza Himmlera, wieloletniego więźnia politycznego, który w otoczeniu swych przyjaciół dr Bacha i dr

Dominik HORODYŃSKI

steśmy, by naród nasz stał się innym“ — dodają. Na przybywsza z Polski patrzą czujne oczy pełne wyczekiwania: czy im wierzy, czy serdecznie poda im obie dłonie. Nie można rąk nie wyciągnąć. Jest w tych ludziach jakaś zaskakująca szczerość, przekonująca siła decyzji i coś, co głęboko wzrusza, co natychmiast stwarza bliski, ludzki kontakt.



Dom i muzeum Bacha w Eisenach

Wagnera podejmował nas serdecznie znakomitą wódką norhau-seńską. Dlaczego Bach nie przypominał mi Jana Sebastiana ani Wagner Ryszarda tylko ten Himmler? — Najmocniej ciąży przeszłość ostatnia — zasłużyła na to. I nasi przyjaciele Niemcy dobrze o tym wiedzą. „W imieniu narodu niemieckiego popełnione zostały największe zbrodnie“ — mówią robotnicy i inteligenci, działacze chrześcijańscy i komunistyczni. „My wszyscy za to co się stało jesteśmy odpowiedzialni i po to je-

NOWI LUDZIE

SKĄD się to bierze? Co stwarza tak szybko atmosferę zaufania i bezpośredniości, dlaczego ludzie spotykający się po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni, po chwili rozmawiają z sobą tak jak by się znali całe życie? — Tragizm wojennych przeżyć, zgodność doświadczeń i oceny przeszłości czy wielkość zadań, które jeśli mają być wykonane muszą być wykonane wspólnie — to chyba główne przyczyny, dla których Niemiec i Polak spotykają się dziś jak bliscy sobie ludzie, oczywiście, jeśli obaj wierzą naprawdę, że przyszłość ludzkości nie leży na drodze wojny oraz restauracji dawnego ustroju i dawnych stosunków między ludźmi i narodami. Ilu takich ludzi jest w NRD? — nie wiem, w każdym razie bardzo wielu.

Przejechawszy całe NRD, mówiąc z przeróżnymi ludźmi, nawet z jawnymi wrogami, odniosłem wrażenie, że to co się nazywa „aktywem narodowym“ jest już mocne: dobrych kilkaset tysięcy. Są to ludzie, którzy, gdyby nadeszła godzina próby, prędzej zginą niż mieliby się poddać.

Ci którzy nawołują do wojny w Republice Związkowej Adenauera i w krajach zachodniej Europy już od dawna starają się zabezpieczyć swoje rodziny i swoje „awary“, gdzieś poza naszym kontynentem. W Niemczech zachodnich roi się od ludzi nawołujących do wojny i równocześnie gotowych do ucieczki w pierwszym jej dniu, ale ilu jest „bojowników“ sprawy Adenauera? — O tym też trzeba pamiętać, gdy zastanawiamy się nad układem sił w Niemczech.

NRD liczy około 20 milionów mieszkańców, Republika Związkowa bodaj 47 milionów. Zachodnie sektory Berlina są enklawą bońską wewnątrz NRD. Między wschodnim a zachodnim Berlinem nie ma żadnej granicy paszportowej. Nielegalne przeciekanie ludzi z NRD do Niemiec zachodnich i na odwrot od początku nie napotykało na poważniejszą trudność. Z tych względów w miarę zastrzeżenia się sytuacji międzynarodowej Berlin zachodni przekształcił się w wielką centralę przerzutu szpiegów amerykańskich, z tych względów również wszyscy ci, którym nie odpowiadała droga rozwoju NRD „przenieśli się“ do Adenauera. Kim byli ci wychodźcy z NRD? —

Z notatnika

Przed wszystkim przeróżni zbrodniarze wojenni, którym grunt palił się pod nogami, potem zawodowi wojskowi, rozparcelowani ary-stokraci i junkrzy (podobno wybitniejszym spośród nich udało się uzyskać rekompensaty od allanckich władz zachodnich), bankierzy, wielcy przemysłowcy i kupcy oraz ta grupa inteligencji, która aktywnie związana była z ideologią burżuazji niemieckiej. W rezultacie mimo, że NRD nie jest państwem demokracji ludowej, że obowiązuje w niej antyfaszystowski porządek i prawie połowa robotników zatrudnionych jest jeszcze w zakładach prywatnych, charakter życia publicznego jest wyraźnie ludowy i kierownicza rola klasy robotniczej niewątpliwa.

NRD stworzona została przez nowych ludzi i przez nich jest rządzona. Rządzą ludzie, których spotkały najstraszniejsze krzywdy ze strony hitleryzmu, którzy z hitleryzmem na śmierć i życie walczyli. Widziałem tych nowych ludzi wszędzie

W Turynii sekretarzem Towarzystwa Krzewienia Pokojowych i Do broszędzkiej Stosunków z Polską jest Willy Kalinke. Kolejarz z Wrocławia 10 lat przesiedział w obozach hitlerowskich. W 1945 r. rozpoczął pracę na poczcie w Erfurcie i doczekał się przyjazdu rodziny z Polski. Stopniowo zaczął uaktywniać się politycznie. Działając ten nie młody już człowiek, wyrósł na czołowego i niestrudzonego bojownika przyjaźni niemiecko-polskiej, stał się wspaniałym agitatorom i mówcą znanym w całym kraju. Kalinke obwoził nas po bardzo różnych ośrodkach i nie mógłem wyjść z podziwu, obserwując dojrzałość jego politycznej pracy. Stale pamiętał, że uprzyjemnianie pobytu nam, de legatom polskim, jest jego wtórnym zadaniem, naczelnym zaś obowiazkiem przekonanie jak największej ilości współobywateli o znaczeniu dla narodu niemieckiego przyjaźni z Polską, o tym, że granica na Odrze i Nysie jest granicą przyjaźni. Gdy tylko Kalinke zauważał jakieś wahanie w nastrojach lub opory jednego czy drugiego stu

łem mu, że jestem przedstawicielem środowiska katolickiego, następnego dnia przyniósł mi swoje książki z serdeczną dedykacją mówiąc: „Myśmy się dużo nauczyli, sekretarstwo zgubiło nas, robotników niemieckich, w ostatnich latach przed zdobyciem władzy przez Hitlera. Or ganizujemy dziś front narodowy nie dla taktyki, wiemy bowiem, że ludzie różnych poglądów nie tylko mogą, ale wprost muszą, wspólnie walczyć o pokojowy świat. Jak się wspólnie walczy, to się i wspólnie buduje“.

Gdy piszę te słowa widzę prostą, otwartą i mądrą twarz Eggeratha, Niemca-przyjaciela. Ci, którzy chcieliby nad Odrą i Nysą przywrócić dawne, agresywne Niemcy muszą wplerać zabij Eggeratha, zabij Kalinke i młodego Kussa, posła Demokratycznej Unii Chrześcijańskiej, rodem z Torunia, który opiekował się mną w Berlinie. A nie la two jest zabij tych twardych ludzi, którzy przetrzymali hitleryzm. Gdy by walka została im narzucona, mo cno potrafili uderzyć.

Nie są zresztą sami, Na każdym kroku widać jak mocny jest związek przywódców i działaczy politycznych z masami. Młodzież jest w najszerzym znaczeniu bazą nowego porządku. Gęsto rozbudowane domy pionierów stwarzają dla wszystkich możliwość nauki, specjalizacji i rozrywki, będąc równocześnie ośrodkami promieniowania wychowawczego. Na odpowiedzialnych stanowiskach politycznych administracyjnych i gospodarczych spotykamy ciągle zupełnie młodych, dwu dziesięt- i dwudziestoparoletnich ludzi. Dziesiątki tysięcy młodzieży współtworzy NRD, dla nich, jak i dla całej półtoramilionowej rzeszy FDJ ludzie typu Eggeratha to wzór Niemca, ideał człowieka.

Robotnicy niemieccy zdają sobie sprawę z kierowniczej roli swej klasy, widzą, że czują się gospodarzami kraju i mają gospodarski stosunek do tego wszystkiego co się w NRD dzieje. Jako delegaci polscy byliśmy niejednokrotnie oprowadzani po budowach i zakładach pracy przez różnych dygnitarzy, ministrów itd. Widziałem jak robotnicy odnoszą się do przedstawicieli swej władzy, jak zwykle mówią do nich po imieniu, często rze czowo i ostro krytykują takie czy inne braki, zarządzenia.

Przybywsza z Polski musi zainteresować niezmiernie ciekawy fakt, że ludźmi szczególnie aktywnymi politycznie są byli jeńcy wojenni z obozów w Polsce i w ZSRR oraz dzieci wysiedleńców z naszych Ziemi Zachodnich. Ci ostatni, z których wielu zna język polski, są w terenie najczynniejszymi członkami Towarzystwa przyjaźni z Polską. Dlaczego właśnie oni? — Polityka władz NRD w stosunku do wysiedleńców, którą zajmę się później, w dużym stopniu tłumaczy ten pozornie paradoksalny fakt. Sądzę, że działają tu również indywidualne przyczyny psychologiczne. Dzieci wysiedleńców, które często w do mu prowadzić muszą polemiki na temat granicy z Polską, lepiej od pozostałej młodzieży rozumieją do nosność tego problemu.

Jeśli idzie o byłych jeńców wojennych, to w Polsce za mało wiemy o ogromnej pracy wychowawczej, reedukacyjnej, przez szereg lat prowadzonej w obozach jeńców i w ZSRR. Taki np. Karl Wloch, sekretarz generalny Towarzystwa przyjaźni z Polską od 1945 pracował wśród jeńców w Warszawie. Rezultaty tej pracy są zdumiewające.

Przedstawiciel wyższej hierarchii kościelnej, opowiadając mi o swych

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

TADEUSZ MAKOWIECKI

PO niedawnych przedwczesnych zgonach Karola Zawodzińskiego i Kazimierza Hartleba nowy cios ugodził humanistykę Uniwersytetu Toruńskiego: w dn. 6 maja br. zmarł Tadeusz Makowiecki, profesor historii literatury polskiej, wnikliwy i subtelny badacz i krytyk, człowiek niezłomnego charakteru, prawy Polak.

W pełni sił i zamierzeń twórczych przeżywszy zaledwie 51 lat umarł pokonany ciężką chorobą serca, nabytą w czasie okupacji, powstania warszawskiego i obozu hitlerowskiego. Jego naukowy dorobek stanowi cenny i ważki wkład do wiedzy o literaturze i stawia Makowieckiego w rzędzie naszych wybitnych krytyków oraz znawców poezji i sztuki.

Łączył rzadko wśród uczonych spotykaną podwójną specjalność: znawstwo literatury i plastyki. Pozwalało mu to na przeprowadzenie dociekań porównawczych uwiecznionych nowymi syntezami.

Umilował szczególnie dwu twórców — Norwida i Wyspiańskiego. Obu im pozostał do końca wiernym i obu poświęcił szereg niezmiernie cennych studiów. Zajął się najpierw „Młodzieńczymi poglądami Norwida na sztukę“ (1929), później pisał o „Norwidzie wobec powstania styczniowego“ (1929), a już po wojnie ogłosił trzy wnikliwe i piękne studia: o „Promethidionie“, „Fortepianie Szopena“ oraz dramacie „Za kulisami“ Norwida. Wszystkie one ustalały nowe fakty i wniosły nowe oświetlenia twórczości genialnego poety.

Największe jednak dzieło poświęcił Tadeusz Makowiecki Wy-

spiańskiemu. Książka pt. „Poeta—malarz, studium o Stanisławie Wyspiańskim“ (1935) była pierwszym ujęciem paralelnym obu rodzajów twórczości autora „Wesela“, ujęciem dojrzałym, niezwykle śmiałym, prowadzącym do nowych, niespodziewanych wniosków, ujęciem wyjaśniającym niejedną właściwość twórczą Wyspiańskiego. Dzieło to otrzymało nagrodę PAU w 1937. W rękopisie pozostawił dużą pracę o Wyspiańskim godną rychłego wydania...

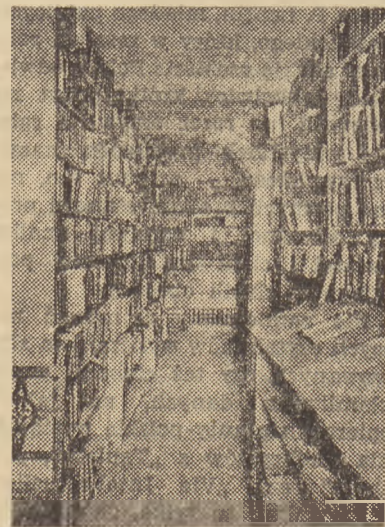
Oprócz szkicu o „Żywych kamieniach“ Berenta opracował Makowiecki „Ustalenie programu badań w dziedzinie kultury“ (Nauka Polska, t. 15). Wydał po wojnie kilka tekstów Mickiewicza i Słowackiego. Opracował też cenny wstęp do artykułu Mickiewicza o malarstwie religijnym (Dzieła, 1936).

Z dziedziny historii sztuki zajęła go twórczość architekta z epoki Sobieskiego, Tylmana, któremu poświęcił dwie prace. Interesowały go również dzieje i pozostałości pałacu Opalińskich w Łubnicach w pow. stopnickim (1934).

Urodzony w Warszawie w 1900, tam skończył szkoły i uniwersytet, redagował krótko miesięcznik literacki „Glossy“, ogłaszał własne liryki, pisywał sporo artykułów krytycznych w czasopiśmie, dał świetny wstęp do katalogu zbiorowej wystawy Wyspiańskiego w Zachęcie (1933). Dopiero powstanie wypędziło go z umiłowanego miasta.

Powrócił teraz do niego na spoczynek wieczny w rodzinnym grobie na Powązkach.

(p. g.)



Biblioteka Goethego w jego domu w Weimarze

chacza, natychmiast przestawał zajmować się nami, rozpoczynał rzeczową i konsekwentną dyskusję którą kończył dopiero, gdy był pewien, że wszystkich przekonał należycie.

A oto sylwetka drugiego człowieka nowych Niemiec, którego będę pamiętał całe życie. Werner Eggerath, górnik z Nadrenii, działacz robotniczy, komunista. Od 1933 do 1945 przebywał w więzieniach i obozach, po wojnie pierwszy sekretarz SED na Turynię, od 2 lat premier Turynii, pisarz, autor dwóch bardzo interesujących książek, Kalecząc straszliwie mowę niemiecką, przegadałem z nim długie godziny w Erfurcie i Weimarze. Powiedz'a-

WALKA O NOWE NIEMCY (3)

podróży po NRD

doświadczeniach z ostatnich lat, przytoczył wypadek charakterystyczny i dość typowy. Miał on mianowicie kolegę szkolnego, prawnika, należącego do bogatej burżuazji niemieckiej. Człowiek ten był członkiem NSDAP i po wojnie skazany został wyrokiem sądu polskiego w Warszawie na 5 lat więzienia. Po zwolnieniu odwiedził mojego rozmówcę, by mu oświadczyć, że w Warszawie zrozumiał jak tragiczną pomyłką była cała dotychczasowa jego działalność i że resztę życia poświęci, by nieszcześnie, do których przykładat rękę, nigdy się więcej nie powtórzyły. Dzisiaj człowiek ten już drugi rok pracuje na odcinku gospodarczym w jednym z prowincjonalnych miast NRD, sprowadził swoją rodzinę z Niemiec zachodnich i postawą swą daje do wód, że przemiana, jaka się w nim dokonała, jest głęboka i nieodwra-

na roli, dziennik ma 21 wydań, tyle, ile Turynia liczy powiatów i każdy go czyta.

Nowych, przemienionych ludzi spotykaliśmy na wiecach i zebraniach, w których wypadło nam uczestniczyć. Mniejszych i większych zebrani było wiele i każdy z nas wielokrotnie musiał przemawiać. Tutaj wspomnę o dwóch spotkaniach: w Poczdamie i w Nordhausen.

Do Poczdamu pojechałem z Hansem Friedem, katolikiem, posłem do Izby Ludowej, który w zeszłym roku był we Wrocławiu na manifestacji duchowieństwa polskiego. Poczdam... Nazwa tego miasta złowieszco brzmi dla Polaka. Tutaj, w wojskowej stolicy Prus, przez pokolenia całe znajdowało się siedlisko zbrodniczej myśli politycznej i tych najgorszych tradycji pruskich, które do szczytu

wo władając tym językiem, Min. Dertinger jest świetnym mówcą, tym większa była moja trema, gdy bezpośrednio po nim stanąłem przed mikrofonem. Lecz gdy tylko przewodniczący oznajmił, że mówić będzie Polak, nastrój zebranych gwałtownie się ożywił, zerwały się oklaski i okrzyki przyjaźni, z okien ocalałego domu i z różnych stron placu zaczęto do mnie przyjaźnie kiwać, przerywając moje wywody owacjami. Po zebraniu starzy i młodzi przychodzili uściskać dłonie delegatów z Polski. Czuli się, że tego rodzaju objawy sympatii nie mogą być „organizowane”, że istotnie ma się do czynienia z innymi, nowymi Niemcami.

NARÓD OGROMNEJ PRACY

PRZEJECHAŁEM w NRD około 3000 km. samochodem. Gdy się widzi smutne, podmokłe i ubogie pola Brandenburgii, piaszczyste lub torfiste wzgórza północnej Saksonii, podziw ogarnia, ile z tej nędznej ziemi potrafili Niemcy ciężką pracą wydobyć. Wyskich plonów z nieurodzajnej gleby nie osiągnęło jedno pokolenie, w ciągu paru lat nie zbudowano kombinatów fabrycznych na piaszczystych nieużytkach. Naród niemiecki od dawna umiał pracować. W rozmowie z Niemcami widać jak każdy z nich kocha swoją pracę.

NRD od chwili swego powstania stanęła wobec konieczności nie tylko odbudowy zniszczonego przemysłu, ale przede wszystkim wobec trudu zbudowania nowych fabryk, gdyż odcięta od wielkich zakładów przemysłowych, położonych w zachodnich Niemczech nie mogła by istnieć jako niezależne państwo. Pomoc ZSRR i krajów demokracji ludowej umożliwiły rozpoczęcie wielkich budowli przemysłowych. Znaczenie tej pomocy stało się przez Niemców podkreślane. „Radziecki surowiec, polski węgiel i niemiecka praca” — oto hasło, które słyszysz wszędzie. W tej „deutsche Arbeit” naród niemiecki demonstruje swe imponujące zdolności organizacyjne i pracowitość. Ale duch tej pracy jest nowy, nowy stosunek do doświadczeń i osiągnięć wschodnich narodów. Niedługo, a i dziś zapewne jeszcze w Niemczech Adenauera, „polnische Wirtschaft”, brzmiało jak pogardliwy epitet. Obecnie największą inwestycję budowlaną Berlina, dzielnicę mieszkaniową przy Al. Stalina, berlińczycy nazywają „nasze MDM” i dodają, że Berlin zaczyna odbudowę, wywać się „in warschauer Tempo”.

Zwiedziliśmy wiele fabryk, które powstały z ruin. Wspomnę o parogodzinnej wizycie w zakładach Zeissa w Jenie. Zakłady te zatrudniały przed wojną 6 tys. robotników. W czasie wojny zostały zbombardowane i przed 6 laty w ogóle nie istniały. Pamiętać trzeba, że zakłady Zeissa, produkujące najbardziej precyzyjne aparaty optyczne, wymagają niesłychanie wysoko wykwalifikowanych pracowników. Gdy przystąpiono do odbudowy dawna załoga w znacznej części rozproszona była po świecie. Sekretarz SED z Weimaru, który wtedy na ruinach ogromnej fabryki przemawiał do garstki niedobitków i zapewniał ich, że zorganizowaną pracą potrafią w ciągu paru lat odbudować również wspaniałego Zeissa jak był dawniej, przyznał mi się, że wiedział, iż tak trzeba mówić, ale sam nie bardzo mógł uwierzyć w realność swych zapewnień. Dzisiaj zakłady zatrudniają 14 tys. robotników, produkcja jest znacznie większa i na

wyższym poziomie, niż przed wojną. Ludziom, którzy tak umieją pracować i którzy pracują dla siebie obca jest wszelka myśl o podbojach.

Wieś niemiecka włączona jest również w wielki nurt pracy i przebudowy. Coraz gęstsza sieć MAS-ów (odpowiedniki naszych POM-ów) pokrywa cały kraj. MAS-y to nie tylko ośrodki postępu technicznego i wyrównywania różnic gospodarczych dzielących jeszcze poważnie wieś niemiecką. Przy stacjach powstają świetlice i koła FDJ, nowy duch dociera do najbardziej opornych ośrodków. Rolnictwo niemieckie zawsze stało wysoko, obecnie agronomowie w NRD na szeroka skalę stosują metody Miczurina i Łysenki i prowadzą własne prace badawcze. Zwiedzaliśmy stację doświadczalną transplantacji roślin zbożowych, prowadzoną przez uniwersytet jenański. Niestety, mój zasób wiadomości rolniczych uniemożliwia mi fachowe zreferowanie tego cośmy tam widzieli. Natomiast kierowniczka stacji, profesor agrobiologii, zapewniała nas, że stołmy u progów zubejnej rewolucji w rolnictwie, która całkowicie rozwiąże problem wyżywienia. Sądzę, że słuszniej jest wierzyć tej dzielnej kobiecie, niż amerykańskim teoretykom głoszącym konieczność zmniejszenia ilości ludzi na ziemi.

DWA BERLINY

BERLIN od paru lat jest jednym z najdziwniejszych miast w dziejach świata. Dziwność ta nie wynika ani z rozmiarów zniszczenia ani z faktu podziału. Jerolimma w 70 r. i Warszawa w 1944 zburzone zostały dużo dokładniej. Wiele jest też miast podzielonych między rozmaite władze państwowe i administracyjne. Ale Cieszyn polski i czeski czy Zgorzelec i Görlitz, to miasta niewielkie, w których podział przebiega zgodnie z jakimiś naturalnymi granicami i odpowiada różnicom narodowościowym.

Berlin, miasto 3 1/2 milionowe, zamieszkałe przez jednolitą ludność, gdzie kursować można po całym terenie bez specjalnych przeszkód, w sposób całkowicie sztuczny podzielony jest między dwa światy, które różnią się od siebie diametralnie. Procentowo miasto zostało zniszczone mniej od Warszawy. Ale ponieważ jest znacznie większe i — poza częścią wschodnią — nie mogło się tam rozwinąć planowa odbudowa, ruin widać dziś więcej niż w Warszawie.



Kalinke przemawia. Obok widoczni delegaci polscy.

Berlin demokratyczny przypomina Warszawę sprzed paru lat. Dużo rumowisk, dużo roboty do zrobienia, ogromna praca w toku. Zawsze w tej dzielnicy miasta zgrupowana była przeważająca część wielkiego przemysłu berlińskiego. Zakłady fabryczne są już odbudowane i pracują normalnie. Równocześnie całe zburzone centrum jest jednym wielkim placem budowy. Poziom życia i wygląd ulicy przypomina Warszawę z 1949. W sklepach nie widać towarów luksusowych, ludzie ubrani skrom-

nie, nie spotyka się wystrojonych kobiet, ani bogaczy, nie widać nędzarzy, np. nie zaczęli nas ani jeden żebrak. Nowe nazwy placów i ulic, w miejsce wysadzonych w powietrze pomników chwały militaryzmu pruskiego — portrety przywódców klasy robotniczej. Dużo transparentów i hasel mówiących o pracy i pokoju. Ciągłe widzimy napisy podkreślające przyjaźń niemiecko-polską i znaczenie granicy na Odrze i Nysie.

Siadamy do samochodu i po kilkunastu minutach zatrzymujemy się na Kurfürstendamm w świetle największego luksusu. Sznur najnowszych samochodów amerykańskich, kobiety wystrojone według ostatniej mody paryskiej, pudle różnokolorowe w przedziwny sposób popodstrzygane, w kioskach komiksy i wydawnictwa pornograficzne. W sumie raj bikiniarzy.

Ale tak wygląda ten Berlin zachodni tylko na zewnątrz i tylko na paru ulicach. Poza tymi ulicami, na których spotykają się aferzyści z całego świata jest szare i nędzne życie 2 milionów mieszkańców i 300 tys. bezrobotnych. Nie mieliśmy warunków do dokładnego zapoznania się z życiem stref zachodnich Berlina. Ale to co widzieliśmy oświeciło nas aż nadto. Z jednej strony ten luksus i łatwe życie dla nielicznych; równocześnie w miejscach wymiany marek zachodnich na wschodnie tłumy nędznie ubranych ludzi godzinami wyczekujące, by zmienić zarobione pieniądze na marki wschodnie i kupić podstawowe artykuły w demokratycznym Berlinie. Tłumy żebraków, bezdomnych dzieci i gromady beczelnych wyrostków, załazki nowej „mody” band faszystowskich Berlina imperialistycznego, a równocześnie we wspaniałych sklepach prywatnych więcej subiektywów niż kupujących. W kioskach, obok wspomnianych już komiksów np. Szekspira i Wiktora Hugo w rewolwerowych, kolorowych skrótach, wydania brukowych pism zachodnio-niemieckich z sensacyjnymi tytułami: „Barbarzyństwo polskie na Śląsku” czy „Cierpienia niemieckiego Gdańska”.

Na Unter den Linden granicą stref jest Brama Brandenburska. Nie daleko za tą bramą, po stronie zachodniej, stoi ogromny i paskudny pomnik Wilhelma I, pomnik zwycięstwa militarystyki pruskiej nad Francją; gdy przejeżdżałem tamtędy, u stóp pomnika pierwszego cesarza sprusaczonych

Redaktor Horodyński w rozmowie z kierownictwem CDU na Turynii. Widoczni od lewej: red. Horodyński, red. nac. „Thüringer Tageblatt” W. Gast, przewodniczący krajowego Frontu Narodowego August Bach, min. Willy Rutsch i krajowy sekretarz CDU Kalb.

całna. Widać z tych przykładów, że często nie zdajemy sobie sprawy jak wielką jest siła moralna sprawy obozu pokoju i nowych stosunków między narodami.

OGROMNĄ rolę w aktywizacji mas i wiązaniu ich z kierownictwem politycznym spełnia prasa. Weźmy np. taki „Das Volk”, organ SED w Turynii. Turynia liczy niespełna 3 miliony mieszkańców, lokalnych dzienników jest bodaj pięć, no i oczywiście, przychodzą wszystkie pisma berlińskie. W tych warunkach pół milionowy nakład „Das Volk” to istotnie duże osiągnięcie. Rozmawialiśmy z zespołem redakcyjnym, by zbadać źródła tego sukcesu. Początkowo „Das Volk” rozwijał się słabo. Pierwszy skok to było przedstawienie ciężkiego pisma ideologicznego i zasadniczego na dziennik lżejszy, z wiadomościami podawanymi w sposób ciekawy i — co szczególnie redakcja podkreślała — dowcipny. Zjawili się masowo nowe prenumeraty. Lecz prawdziwy rozwój pisma związany jest z chwilą wprowadzenia listów od czytelników, listów mówiących o trudnościach, brakach czy nadużyciach, z którymi nie mogły poradzić sobie czynniki administracyjne. Dziennik zaczął mobilizować społeczeństwo do walki z tymi lokalnymi niedociągnięciami. Popierał najrozmaitsze inicjatywy terenowe, np. w jednym miasteczku dzięki pomocy „Das Volk” powstał teatr, gdzie indziej założono orkiestrę czy basen pływakki. — Sprawy kadr dziennikarskich, trudną wobec powszechnego braku ludzi w NRD, rozwiązano w jedynie słuszny sposób, biorąc do redakcji najlepszych korespondentów wprost z terenu. Niektórzy posłani zostali do szkół, inni dokształcają się sami. W tej chwili redakcja „Das Volk” to ze trzydzieści izb pełnych ludzi, z których większość przyszła tam z fabryki, czy z pracy

doprowadzić miał hitlerizm. Jaki jest Poczdam dzisiejszy, w siedem lat po upadku Trzeciej Rzeszy, w siedem lat po podpisaniu — tutaj właśnie — historycznej a złamanej przez Zachód umowy?

Sala Domu Kolejarza obliczona na 500 miejsc była pełna. Trochę starszych robotników, trochę inteligencji, głównie — młodzież. Zebranie trwało dwie godziny i — po za odegraniem polskiego hymnu narodowego — nie miało żadnych cech oficjalnych. Nastrój wzruszenia i radości opanował wszystkich: radości, że naród niemiecki znalazł wreszcie nową, pokojową drogę, że na tej drodze spotyka przyjaznych Polaków. Czy można oprzeć się wzruszeniu, gdy w Poczdamie przewodniczący zgromadzenia ze łzami w oczach wśród huraganowych oklasków sal, mówi: „Dziękujemy wam, przyjacielu z Polski, że mimo tylu zbrodni, które synowie tej ziemi wyrządzili Twojej Ojczyźnie, zechciałeś przyjechać do nas. Po raz pierwszy w historii, my, poczdamiacy, czekaliśmy na słowa otuchy i zachęty z Polski, po raz pierwszy w tym mieście Polak przemawiał w ten sposób do Niemców. Wasza życzliwość dodaje nam siłę w walce z tym wszystkim, co w Niemczech jest stare, złe i ciemne”.

NORDHAUSEN leży w północnej Turynii, przy samej granicy strefy brytyjskiej. Miasto zostało straszliwie zbombardowane w ostatnich dniach wojny i do dziś nie podniosło się jeszcze z ruin. Trafiliśmy tam na wielki wiec w sprawie zjednoczenia Niemiec, referat wygłaszał Minister Spraw Zagranicznych NRD. Na rynku, pośród ruin, gdzie poza ratuszem ocalał tylko jeden dom, zebrano się około 20 tysięcy ludzi. Było wietrzno i zimno a ja miałem po raz pierwszy w życiu przemawiać po niemiecku, led-

O Beethovenie, muzyce, literaturze i pewnym publicyście

(List ponury)

Dregi Panie,

wybór tematu, t. j. prawo pisania o tym, o czym się komu pisać podoba jest niezaprzeczoną prawem literata, publicysty itp. I Pan także, oczywiście, ma prawo wybrać sobie Beethovena za przedmiot swych rozważań. Nie sądzę jednak, aby w ten sposób wzmacniał Pan siłę swych argumentów, gdyż jest rzeczą powszechnie znaną, że pisać o muzyce (nb. do br z e pisać, bo przecież każdemu o to chodzi — prawda?) jest trudno a nawet bardzo trudno. Wprawdzie można się od tej trudności częściowo wykreślić, pisząc o muzyku zamiast o muzyce (jak i Pan to nierazkrodo stosuje w swoim artykule), ale i tak sprawa nie jest najłatwiejsza. Oszczędzę Panu wykładu i powtarzania tego, co Pan zapewne świetnie zna, a wspomnę tylko, że transponowanie k a z d e g o języka artystycznego (muzycznego, malarskiego itp.) na język codzienny pociąga za sobą nieuchronnie liczne deformacje.

Pozwoli Pan, że zanim zajmę się główną tezą Pańskiego artykułu, w krótkich słowach sprostuję kilka sądów w nim zawartych, utartych co prawda i często spotykanych w życiu codziennym, lecz za to zupełnie bezwartościowych (F. Bacon mówił w takim wypadku o „idola fori”).

A więc pisze Pan o „do dziś niedocenionym Haydnie i Mozarcie”. Dowodzenie, że obaj ci kompozytorzy są dziś całkowicie doceniani za jęło by parę szpalit dźwięku, toteż odsyłam do pierwszego lepszej (wydanej w XX wieku) historii muzyki, do notatek studenta I roku szkoły muzycznej, a wreszcie do byle pogadanki radiowej o twórczości Haydna lub Mozarta, której autor w ciągu (co najwyżej!) 15 minut musi rozprawić się z całokształtem twórczości jednego z nich lub nawet obu. Gdyby to wydało się Panu zbyt uciążliwe, jestem skłonny — idąc za przykładem pewnego poetę, który w ten właśnie sposób do wodził wielkości swego młodszego kolegi po piórze — dać słowo hono ru na to, że dziś w pełni doceniamy się i Haydna i Mozarta.

Co się tyczy tego ostatniego, to pozwałam sobie zakwestionować jego „blogostan, urek nadziejski i anielskie trele” (szczególnie te ostatnie!). Już dawno minął czas, kiedy to w twórczości Mozarta widziano tylko rokokowy wdzięk i beztróską. Kwadrans wyżej wskazanej lektury przekona Pana, że owe „trele” Mozarta, to po prostu — proszę wybaczyć — zwykłe „trele — morele”.

Twierdzi Pan, że twórczość Bacha i Haendla „można z powodzeniem tłumaczyć powodami formalnymi, czysto absolutnymi, bo ani przed nimi, ani po nich nie było tak czystej, obiektywnej muzyki” — że oni byli „jak mistycy, pogrążeni całkowicie w świecie tonów”. Oto jeszcze jeden dowód hołdu złożonego Baconowemu „idola fori”, hołdu potocznym, przestarzałym i wytartym konunalom, używanym na rynku. Cała muzyka Bacha pełna jest głębokiej muzycznej symboliki, i nie ma takiego uczucia, myśli czy pojęcia, którego by on nie przekształcił w muzyczny symbol. To też jeśli Pan pisze, że „nawet u Bacha podejmuje się wyśledzić treść literacką, nawet u Haendla i Mozarta” to spieszę uprzedzić, że szkoda tracić tak cenny dla naszej publicystyki czas i wyjaśniam, że pracę tę niezgorzej wykonał już w swej książce o Bachu Albert Schweitzer oraz Arnold Schering w dziele „Das Symbol in der Musik” (Leipzig 1941). Z łatwiej dostępnej literatury zwracam uwagę na to, co o Mozarcie pisał Romain Rolland w książce „Musiciens

d' autrefois” (Paris 1914) w oparciu o autentyczne listy „ulubienca bogów”. Zresztą popada Pan w sprzeczność, mówiąc raz o „czystej i obiektywnej” muzyce Bacha, a raz o „treści literackiej” w jego utworach.

Z kolei więc jeszcze parę uwag z pozycji „krytyki immanentnej”. Podoba się Panu II i VIII symfonia Beethovena dlatego, że obie są „najmniej beethovenowskie” a zwłaszcza II, gdyż jest „tak mozartowska, tak spokojna, świeża i urocza, bez buntów i zgrzytów”. Można i tak! W muzyce Chopina można na przykład cenić najwyższemu, co „nie-chopinowskie”, a więc np. w jego nokturnach cenić to, co przejął on od Fielda (zob. podana wyżej literatura), u Bacha to, co przejął on od francuskich klawesynistów (zob. j. w.), lub zalewającej wówczas rynek muzyczny opery włoskiej, u Mozarta głównie w/w „trele”, itd. itp. Nie przesadzając wcale tego, czy wówczas wybiera się „lepszą cząstkę” (de gustibus)... można przeróżnie reagować na muzykę. Jednego z takich (powiedzmy) oryginałów uwiecznił w swej „Belli” Jean Giraudoux. Nie chcąc tym razem jedynie odsyłać do literatury, przytoczę dwa zdania tego pisarza: „Przyjaciel mój ucieczył się, że mówić będzie o rodzinie Du berdeau z człowiekiem, który wieczór wczorajszego rozpoczął Mozartem. Nie wiedział, że muzyka działała na Rebendarta w sposób specjalny: że Cezar Franck pobudzał go do niesforności, Debussy rozpętywał energię, Leoncavallo rozsądkiem i że właśnie Mozart popchnął dziś pana prezesa na drogę zażrości, wzgardy i niechęci”.

A więc można i tak. Ale jak pogodzić Pana gust („w Beethovenie wolę to, co najmniej beethovenowskie”, tak brzmi parafraza Pańskiego zdania o muzyce Beethovena) z wyrażoną w tymże artykule opinią, że w Beethovenie „po raz pierwszy w dziejach muzyki podnosi się bunt”, tego stanowczo nie wiem. Nie chcę zaś przenosić się na grunt patologii percepcji dzieła muzycznego (vide cytowany Giraudoux!), mimo, że w skrócie sprawa

wyglądająca tak: teza I — „Beethoven to wyraz buntu w muzyce” — i teza II „cenie Beethovena właśnie za te utwory, w których nie ma — jak można przeczytać w artykule — buntów i zgrzytów” — pachnie daleko posuniętym wysublimowaniem i wysubtelnieniem gustu.

A wreszcie kwestia główna: „literatura i muzyka”. Pyta się Pan, „dlaczego ktoś nie ma mieć prawa pojmować literacko muzyki. Przecież w ten sposób o wiele szerzej może to dzieło pojąć”. Właśnie: s z e r z e j, to znaczy tak, jak się jemu (t. j. słuchaczowi) podoba, najzupełniej dowolnie. Wyobraźnia słuchacza krążyć będzie wokół najbardziej fantastycznych, a najczęściej zupełnie z muzyką nie związanych, kolejno się nasuwających obrazów. Im s z e r z e j (w takim rozumieniu) słuchacz będzie pojmował muzykę, tym więcej ją zrozumie i tym bardziej powierzchownie będzie ją przeżywał.

Uprzedzę Pana podejrzenie: nie jestem wrogiem literackiego przeżywania muzyki. Mówiąc najogólniej i bardzo niedokładnie uważam „literacki” sposób przeżywania muzyki za bardzo pożyteczny na pewnym szczeblu rozwoju kultury muzycznej każdego słuchacza, na pewnym etapie jego tzw. „muzykalknienia”. Muzyka ilustracyjna „różnego rodzaju „pociągi”, „kurniki” i „kukułki” oraz programowa (np. „Uczeń czarnoksiężnika” Dukas'a itp.) pozwala orientować się niewyrobionemu muzycznie słuchaczowi w powodzi zalewających go dźwięków, tak, jak te same „kukułki” itp. ułatwiają dziecku stopniowe osvajanie się z muzyką w ogóle. Jednakże w miarę rozwoju kultury muzycznej, słuchacz coraz bardziej odrzuca te pomocnicze, pozamuzyczne konstrukcje, dzięki którym wspinał się na wyższy szczebel słuchania muzyki. Nie odrzuca ich jednak całkowicie i nie powinien tego nigdy zrobić, jeżeli nie chce zubożyć swego artystycznego przeżycia, związanego ze słuchaniem muzyki. O tyle — i tylko o tyle — ma Pan rację, pisząc, że

muzyka „nie może się obejść bez poezji, bez literatury, a więc i bez pojmowania literackiego, bo mówi o tych samych rzeczach”. Jednocześnie dopatrywanie się w muzyce tylko o literatury jest takim samym błędem, jak dopatrywanie się w niej tylko o kombinacji dźwięków.

Nie licząc rzadkich wypadków, dzieło muzyczne zawsze prawie powstaje jako wyraz pewnych uczuć. Ale podczas słuchania utworu, słuchacz może sobie odtworzyć co najwyżej tylko ogólny nastrój, jaki towarzyszył twórcom przy komponowaniu dzieła, gdyż muzyka zdolna jest oddać tylko pewne — że się tak wyrażę — pojęcia uczuciowe (radość w ogóle, smutek w ogóle itp.). Wątpię też, czy (nieuprzedzony przez nikogo) umiałby Pan odkryć w jednym z utworów Eryka Satie („Sonatine bureaucratique”) żądło satyry, skierowane przeciwko niewolniczym stosowaniom przez niektórych kompozytorów formy sonatowej. Przyznaję się do tego, że osobiście nie podjąłbym się nigdy przesądzać kwestii literackiej treści utworów, o ile sam twórca takiej lub innej treści nie „autoryzuje” (stad proceder „poszerzenia” rozumienia dzieła muzycznego przez zaopatrywanie ich literackim komentarzem stosuje się głównie wobec kompozytorów zmarłych, a więc bezbronnych; nie radzę „udostępniać” w ten sposób kłóregos z żyjących muzyków!).

Słuchacz, który nie będzie w stanie kontrolować swej „literackiej” wyobraźni przy pomocy co najmniej elementarnych wiadomości z dziedziny nauki o muzyce, słyszy co prawda muzykę, ale bynajmniej jej nie słucha. Muzyka jest dla niego jedynie tylko pretekstem służącym do wywoływania wibracji uczuć, które są najczęściej związane z osobą... samego słuchacza. To też z tego punktu widzenia, ucieczka przed sztuką „trudna” jest formą samoobrony egocentryzmu.

Pisze Pan, że legenda literacka powstała z wypowiedzi samego mistrza, że więc „sam Beethoven po literacku pojmował swe dzieła”.

Plastyczna treść w muzycznej formie

(felieton żartobliwy)

Panu Jakimiakowi, oby przeczytał i zadziwił

PAN JAKIMIĄK, którego nie znam osobiście a mimo to cenię, z właściwą sobie swadą i racją rozprawił się z wąskim muzykologicznym pojęciem muzyki przez p. Kislewskiego. Korzystając z zamieszania pojęć postaram się skruszyć pióro o prawo plastycznej interpretacji utworów muzycznych. Argumenty — jeśli baczny czytelnik zechce je odszukać — zaczerpnięte będą z essayu p. Jakimiaka. Nieśmiało podajam ślady mojego poprzednika wzorując na nim styl i metodę. Zamknijmy oczy i naprzód!

Kłoto mego domu znajduje się źródło. Z okna widzę jak ludzie idą po wodę. Z wiadrkami, z beczką, z faszka, czasem piją wprost nachyliwszy się nad nim. Tak jest ze sztuką, która jest krynicą ducha, każdy z niej czerpie to co ma pod ręką. I wolno mu wszystko mówić o sztuce, bo to sprawa gustu. Jeden by tak, drugi by inaczej...

Dlatego ja również nie mogę przyznać racji p. Kislewskiemu i muzyka na pewno nie jest bezduszną kombinacją dźwięków. O nie! Nie zgadzam się także z literacką interpretacją muzyki p. Jakimiaka. Prawda jest, po środku. Moim zdaniem (a myślałem o tym często i z wysiłkiem), muzykę najlepiej tłumaczyć malarstwem, analogia z plastyką i w ogóle w muzyce element plastyczny gra istotną rolę, tzw. pierwsze skrzypce!

Bo kto mi zaprzeczy, że plastyka i muzyka są podobne do siebie? Wszak obie obejmujemy wspólnym terminem sztuka. Co więcej, są one sztuką powstającą na tej samej planieci umam na myśli ziemie). A tworzy ją człowiek, zawsze do znużenia ten sam człowiek, który cierpi, walczy, dyszy, stęka, teskni, bożacia, lubi i owo, mówi piątę przez dzięsiate, chodzi tu i tam.

Ciotka mojej babki zajmującej się muzyką opowiadała jej (babce) że pewnego razu odkryła na marginesie rękopisu Chopina narysowany ręką mistrza — fiolek. Tak więc obraz tego niewinnego kwiatka zrodził wyobraźnię kompozytora, inaczej mówiąc, Chopin po malarsku pojmował swoje dzieła.

Plastyka uzupełnia muzykę, tłumaczy ją, wypełnia żywą treścią. Splewaczki wyszcypają z ryka w barwnych sukniach. A opera? Czy widział ktoś operę bez dekoracji? Tak więc ponad wszelką wątpliwość, muzyka nie może się obejść bez malarstwa, bez plastyki, a więc bez pojmowania malarskiego, bo mówi o tych samych rzeczach. Malarz jest bratem muzyka. A brata trzeba kochać!

Wszyscy się chyba zgadzają, że najszlachetniejszym zmysłem jest oko. Mówi się nawet „strzec jak oka w głowie” (a nie np. strzec jak języka w gębie). Ono pozwala chłonać cudą przyrodę. I nie ma racji p. Jakimiak, zaliczając rzeźbę i malarstwo do sztuk martwych i głuchych. Nie, po trzykroć nie! W obrazach śpiewa, drży i rozlewa się w słodkich trelach muzyka kolorów, barw i kształtów. Pierwszą sztuką w historii człowieka jest rysunek. Tak więc matka sztuki jest plastyka, córka malarstwo, a literatura w najłepszym wypadku huwczka.

Wróćmy jednak do Beethovena. Czy taką Pastoralną można tłumaczyć li tylko muzycznie? Czy nie widzimy w niej szerokich pól, jasnych wód strumieni, barwnej chłopskiej zabawy, borych chmur przecinanych srebrnym młotem błyskawic, a w końcu siedmiobarwnej tęczy? Wszystko to naprawdę widać. Trzeba tylko zamknąć oczy. Tak więc muzyczna forma wypełnia głęboka plastyczna treść (lub czasem na odwrót, ale to rzadziej).

„Bez plastyki muzyka byłaby bezduszną kombinacją dźwięków. Ale tak nie jest. Jest w niej duch, dusza, dech. Gdyby nie dech, nikt by nie mógł grać na trąbie.

Pod koniec tego felietonu pomyślałem sobie (trzeba pilnie notować wszystko co się pomyśli) — że dobrym narzędziem poznania muzyki jest węch. Bach (a także wczesny Haydn) przypominają mi zapach jabłek dojrzewających w komorze, zaś Debussy i Szymanowski wóń nadpsutej brzoskwinii. Dlatego wolę Bacha (i wczesnego Haydna). Cóż, człowiek nie składa się tylko z ucha jak chcą muzykologowie, ale także i z oka, nosa, nie mówiąc już o innych elementach.

Philippo da Conoppi

Proszę więc obliczyć ilość tych dzieł, które (nie licząc pieśni!) zaopatrzy on w najskromniejszą bo daj literacką etykietkę, a przekona się Pan, że można je wyliczyć na palcach rąk, bez ryzyka angażowania do pomocy dolnych kończyn, że więc stanowią one tylko nikły procent. Nie trzeba też zapominać o tym, że Beethoven wstydził się najbardziej „literackiego” (w Pana rozumieniu) ze swoich dzieł, tj. symfonii batalistycznej „Die Schlacht bei Vittoria”, w której słychać hymny narodowe, strzały armatnie, okrzyki itp. naiwne cudeńka. Dziś nikt nie wykonuje tej symfonii, tak samo jak nie słyszy się „Odlewni stali” Mossolowa.

MUZYKA jest — zdaniem Pana — siostrą literatury. Lecz przede wszystkim, wszystkie sztuki są sobie mniej lub więcej pokrewne. Wolno innym głosić poglądy, że sztuką najbardziej pokrewną muzyce jest architektura, wolno więc i Panu wypowiedzieć się na ten temat. A skoro mamy już używać po równa „familijno-rodzinnych”, to wydaje mi się, że koncepcja Pana idzie jeszcze dalej: uznaje Pan literaturę i muzykę nie za zwykłe siostry, lecz za siostry sja m s k i e. Nie wiem, jak prawo reguluje sprawę poślubienia jednej z dwu takich właśnie sióstr. Wiem jednak, że jeśli kto zechce na gruncie sztuki ślubować kiedykolwiek jednej z nich, druga nie obrazi się na pewno, lecz — pod warunkiem obdarzenia jej takim samym uczuciem — będzie starała się pomóc drugiej na tzw. „nowej drodze życia”. Złośliwi twierdzą, że najsurowszą karą dla bigamisty jest posiadanie dwóch żon. Na terenie sztuki jednak kara ta ma raczej posmak kary symbolicznej.

I jeszcze jedno. Poruszył Pan — obok wielu, wielu zagadnień, z których tylko niektóre tu omawiam — także sprawę powstania muzyki. Jest to problem, na temat którego wypisano już wiele fantastycznych rzeczy, gdyż każdy niemal „muzykujący” pisarz (a któryż pisarz mógł by — pod grozą „utruty twarży” — nie znać się na muzyce?) puszcza tu wodze swej nieskrępowanej wyobraźni. Wiąże Pan powstanie muzyki z oddychaniem, co upodabnia tę teorię do hipotezy „prajęzyka”, będącego zarazem mową i wyrazem muzycznym (Rousseau, Herder, Darwin), lub też „prakrzyku” (Torrefranca). Głos jest dla Pana synonimem życia, bo „cokolwiek może wydobyć z siebie głos to już jest żywe... Nawet głuchonie my jęczy i stęka, dając tym znak swego życia”. Wobec tego i niżej podpisany, wydając w niniejszym „ponurym liście” różne pomruki daje dowód tego, że czyta książki, pisze listy, że czasem nawet zdarza mu się (o dziwo!) słuchać muzyki, że więc... i s t n i e j e i jest czymś rzeczywistym.

Nie pozostaje mi więc nic innego jak uwierzyć na słowo honoru Heglowi, że „wszystko, co jest rzeczywiście, jest r o z u m n e”. Czego i Panu życzę, wyrazi szacunku łącząc

Czesław Krzcwiski

P. S. I. Nie zamierzam tracić czasu na — moim zdaniem — źle postawioną w odniesieniu do muzyki sprawę „formalizmu”. Toteż pomijam ją celowo milczeniem.

II. Nikt mnie nie prosił na mediatora w sporze „Kislewski — Jakimiak”, a więc ani nie bronię jednego, ani nie oskarżam drugiego. Zresztą Kislewski sam się o broni, o ile uzna to za właściwy sposób uzasadnienia swych sądów.

Natomiast mam zastrzeżenia co do zdania p. Jakimiaka, że „dość dobrze rozumiał i zreferował poglądy p. Kislewskiego”. Wydaje mi się, że ani jedno ani drugie. Ale to już nie moja sprawa.

C. K.

Jerzy HAGMAJER

W O B R O N I E D Z I E C K A

W roku bieżącym mija 27 lat od chwili gdy pod auspicjami Ligi Narodów, odbył się w Genewie I Światowy Kongres Dziecka. Ogłoszona wtedy deklaracja Praw Dziecka wzywała ludzkość do dania dzieciom wszystkiego co najlepsze, potwierdzając prawo do rozwoju wszystkich dzieci bez różnicy wyznania, rasy czy narodowości.

Deklaracja ta zawierała następujące istotne punkty:

1. Dziecko musi posiadać warunki normalnego rozwoju materialnego i duchowego.
2. Dzieci głodne muszą być odżywione, chore i upośledzone winny znaleźć pomoc, sieroty i dzieci opuszczone — opiekę.
3. W czasach klęsk dziecko pierwsze musi otrzymywać pomoc.
4. Dziecko musi być chronione przed każdym wyzyskiem.
5. Dziecko musi być wychowywane w przekonaniu, że jego najlepsze cechy zostaną wprężnięte w służbę wspólbraci.

V Zebranie Ligi Narodów uroczyste zaakceptowało wszystkie te tezy. Narody zobowiązały się do ich realizacji, po czym świat poszedł swoją drogą, na której każdy rok przynosił nowe ofiary ginących z głodu, wojny i chorób setek tysięcy dzieci.

Obecnie, w 7 lat po zakończeniu II wojny światowej sytuacja jest w dalszym ciągu tragiczna. W Japonii i Syrii dzieci są sprzedawane przez swych rodziców znajdujących się w skrajnej nędzy, w Korei do tej pory zginęło 300.000 dzieci, w Afryce i Ameryce Łacińskiej większość dzieci umiera przed upływem 3 roku życia.

Regiony głodu na ogół pokrywają się z regionami analfabetyzmu spowodowanego brakiem szkół. Tak więc w Japonii poza szkoła znajduje się 1.332.000 dzieci, w Indiach 88%, w Iranie 90%, w Egipcie 82%, w Afryce Zachodniej 95%, w Afryce Południowej 99% etc.

Jednocześnie w krajach wysoko cywilizowanych obserwujemy wśród dzieci psychoneurozy, wzrost przestępczości, zaznaczającą się od najmłodszych lat chęć użycia. Zrozumiałym zatem staje się fakt zwołania z inicjatywy Francji, pod egidą „Comité International de Patronage“, Konferencji w Obronie Dziecka, która odbyła się w dniach 12 — 16 kwietnia br. w Wiedniu.

W konferencji tej brali udział delegaci 64 narodów reprezentujących wszystkie rasy i wyznania. Polska wysłała delegację pod przewodnictwem prof. Bogdanowicza, w skład której wchodził między innymi: przewodnicząca Ligi Kobiet Musiałowa, wiceminister Pragierowa, Ewa Szelburg-Zarembina, dr Sztachelska, dyr. Bielecki, prof. Tomaszewski, i niżej podpisany. Organizatorem konferencji zależało na nadaniu jej jak najbardziej powszechnego charakteru. Trzeba przyznać, że cel ten został osiągnięty, gdyż przedstawiciele poszczególnych narodów chociaż różnili się zasadniczo w swych poglądach i dla wielu delegacji nawet Światowy Ruch Obrońców Pokoju był organizmem o zbyt sprecyzowanym obliczu politycznym byli jednak jednolici w swej woli pomocy dzieciom.

W efektywnej, złoto-niebieskiej, ale po kilku dniach obrad nużącej swym secesyjnym przepychem sali Musikverein w Wiedniu, zasiadło 600 delegatów i wielosobowe prezydium złożone z przedstawicieli wszystkich delegacji.

Przed naszymi oczyma przesuwały się obrazy z życia dzieci krajów całego świata. Obrazy czasem jasne i radosne, lecz niestety częściej wstrząsające swym tragizmem. Obrady były

My, chrześcijanie biorący udział w Międzynarodowym Kongresie w Obronie Dziecka, zwracamy się w tym apelu do chrześcijan całego świata.

Z wielką uwagą i pilnością uczestniczyliśmy w obradach Kongresu, prowadzonych w duchu szczerego braterstwa i zobowiązaliśmy się do wprowadzenia w życie powziętych uchwał.

Przepelnia nas ta sama obawa wobec grożącej wojny, co wszystkie kobiety i wszystkich mężczyzn. Dla chrześcijanina chęć rozwiązania konfliktu przy pomocy wojny jest grzechem śmiertelnym.

Dlatego jako chrześcijanie czujemy się odpowiedzialni za zbrodnie, których ofiarami padają dzieci na całym świecie.

My, chrześcijanie biorący udział w tym kongresie ślubujemy, że będziemy starali się usilnie

wielkim rachunkiem sumienia białej rasy. Z niezwykłą bowiem wyrazistością przedstawiono los ludów kolorowych i kolonialnych, wysykanianych przez mocarstwa kolonialne, ludów którym te państwa zawdzięczają swe bogactwa, siłę, wysoką stopę życiową.

Rozmowy kulturalowe z różnymi delegatami wywołały zaniepokojenie i ból u chrześcijan obecnych na konferencji, gdyż niestety, jak się okazało, w myślowości ludów kolorowych chrystianizm łączy się niejednokrotnie z pojęciem jeszcze jednego instrumentu hamującego dążenie do niepodległości narodowej, jeszcze jednego sposobu oddziaływania na ich narody przez imperialistyczne mocarstwa. Budziło się w nas pytanie, czy nie ma analogii między utratą wpływu na klasę robotniczą przez chrześcijaństwo w w. XIX i obecną sytuacją wśród ludów kolorowych. Z tym większą radością dowiedzieliśmy się o poparciu, którego udzieliła Hierarchia i duchowieństwo katolickie w Viet-Namie ruchowi ludowemu i jego przywódcy Cho-Szi-Minhowi.

Gdy na trybunie ukazała się orientalna sylwetka głowy islamu irańskiego Seyed Ali Akbar Borghei, który „w imię Boga sprawiedliwego i miłosiernego“ błogosławił obradom i uczestnikom konferencji, gdy swym zawodzącym jak śpiew muezzina głosem potępiał ludzi odpowiedzialnych za wyzysk i nędzę dzieci — żal nasz pogłębił się jeszcze bardziej, że nie padły z tej mównicy słowa kapłanów katolickich, którzy głosili by wieczne prawdy płynące z Ewangelii i którzy przypomnieli by miłość Chrystusa do dzieci i Jego twarde słowa wobec tych, którzy dzieciom szkodzą.

Dlatego też liczni obecni na sali chrześcijanie wyłonili komitet w składzie: pastor Kernsiherper (Niemcy), p. Soumille (Francja), prof. Jelenko (Austria) i dr Hagmajer (Polska), który zredagował apel do chrześcijan, odczytany następnie na ostatnim plenum przez pastora Kernsiherpera. Apel ten spotkał się z olbrzymim aplauzem delegatów, którzy powstawszy z miejsc, długo oklaskiwali mówcę.

JEDNYM z ciekawszych problemów, jakie wyłoniły się w czasie konferencji, było zagadnienie wpływu filmów i tzw. „comicsów“ na młodzież. W Polsce zupełnie nie zdajemy sobie sprawy z tego, jakie trudności wychowawcze są wynikiem zalewania rynków światowych przez gangsterskie filmy Hollywoodu i literaturę pornograficzno-kryminalną, która dzięki swej taniości jest dostępna dla każdego dziecka posiadającego parę groszy w kieszeni. Wystarczy jako przykład przytoczyć liczbę 720 milionów egzemplarzy „comicsów“ sprzedanych w 1951 roku w USA, aby zdać sobie sprawę z zasięgu tego rodzaju literatury. Rozmawiałem na ten temat z austriackimi księżmi katolickimi i marksistami. I jedni i drudzy stwierdzali, że mają ogromne trudności z wychowywaniem młodzieży, jedni i drudzy mówili o wyraźnym obniżeniu się poziomu moralności

zwiększać wśród naszych współwyznawców wysiłek zmierzający do zapewnienia każdemu dziecku szczęścia i pokoju. Zbyt wielu chrześcijan milczy, podczas gdy miliony dzieci na całym świecie cierpią nędzę i głód.

Dlatego protestujemy dziś przeciwko wojnie bakteriologicznej, która jest straszliwą zbrodnią wobec Boga i ludzkości. Chrześcijanie nie mogą dawać wiary kłamstwu — muszą szukać prawdy.

Zwracamy się do naszych Braci i Sióstr: usłyszcie wołanie matek pełnych troski i obawy o przyszłość swych dzieci. Pamiętajcie, że Pan nasz Jezus Chrystus nakazał bez strachu i spoczynku wspierać czynami pokój.

Apel podpisany przez delegatów chrześcijańskich biorących udział w Kongresie w Obronie Dziecka w Wiedniu.

ci wśród młodzieży chodzącej systematycznie do kin i czytającej opowieści z Dzikiego Zachodu, lub sadystyczno-pornograficzne książki kryminalne. Nie wiem, czy pustki w kościołach wiedeńskich w Wielką Sobotę i zdumiewająco małej ilości dzieci na Mszy św. w Wielką Niedzielę w kościele Karmelitów nie należało by przypisać temu wpływowi.

Współpracownik „Esprit“, który był obecny na obradach w charakterze obserwatora, poinformował mnie, że we Francji, wbrew wszelkim tradycjom w zakresie wolności słowa, opracowywana jest ustawa, która powoła do życia komisję mającą na celu nie udzielanie debitu tego rodzaju wydawnictwom na terenie całej Francji.

Ożywiona dyskusja w czasie obrad komisji wzbudziło zagadnienie wojny bakteriologicznej. Przedstawiciele niektórych krajów zachodnich potępiając zasadniczo użycie broni

bakteriologicznej, kwestionowali fakt stosowania tej broni na Korei. Niemniej jednak, pod naporem faktów przedstawionych przez delegację chińską i koreańską ustąpili ze swego stanowiska i wszystkie rezolucje komisji, jak również apel uchwalony na plenum, przeszły jednogłośnie, bez żadnego głosu wstrzymującego się.

Apel plenum i rezolucje komisji zawierają sformułowania, pod którymi może się podpisać każdy uczciwy człowiek, niezależnie od wyznawanego poglądu na świat.

Oceniając ogólnie ich treść należy stwierdzić, że zalecenia komisji np. w zakresie ochrony zdrowia, są w znacznej mierze rejestracją tych faktów, które już stanowią trwałą zdobycz krajów demokracji ludowej.

Prawdziwą satysfakcją dla delegatów polskich były liczne kontakty z przedstawicielami krajów dużo bogatszych od nas i mających większe

możliwości organizacyjne, którzy dowiadywali się nadzwyczaj szczegółowo o opiekę nad dzieckiem w Polsce i nie mogli wyjść z podziwu jak wiele na tym odcinku zostało u nas zrobione.

KIEROWNICTWO konferencji nie ograniczyło się tylko do ogólnych sformułowań co należy dla dzieci zrobić. Istotnym novum w stosunku do uchwały Ligi Narodów z r. 1925 było wskazanie, jak poprawić los dzieci. Dlatego też wszystkie uchwały i rezolucje mają charakter konkretny. Apel zaś konferencji, w odróżnieniu od dawnych tego rodzaju aktów międzynarodowych, również konkretnie wskazuje na konieczność ograniczenia zbrojeń, wzrostu wydatków budżetowych na potrzeby społeczne i kulturalne dziecka, żąda zaprzestania wojny w Korei, Viet-Namie i na Malajach, wypowiada się przeciw gorszącej prasie, filmowi i programowi radiowemu, stwierdza że należy organizować we wszystkich miastach i wsiach całego świata komitety obrony dziecka.

Konferencja powzięła uchwałę, że poczynając od roku bieżącego, dzień 1 czerwca będzie Międzynarodowym Dniem Dziecka, który ma służyć upowszechnieniu i realizacji tez opracowanych przez konferencję i ma się stać „potężną manifestacją na rzecz pokoju i braterstwa między wszystkimi narodami na ziemi“.

„Mężczyźni i kobiety całego świata — kończy apel — słuchajcie naszego wezwania. Od nas zależy, by nasi synowie i nasze córki żyły, żeby nasze dzieci i dzieci naszych dzieci zaznały radości. Pokój i szczęście dzieci są nierozdzielne!“ Jerzy Hagmajer

Anna REITEROWA

Z DYSKUSJI NAD RODZINĄ

O chrześcijańską atmosferę

ZYCIE religijne w rodzinie katolickiej stanowi jeden z najistotniejszych problemów, stąd niewątpliwie zainteresowanie tym zagadnieniem, które w okresie dokonywających się przemian nabiera specjalnego znaczenia.

Rodzina katolicka włączona w nurt przemian ustrojowych i ekonomicznych musi tak wychować młode pokolenie, aby umiało ono przepajać zasadami chrześcijańskimi życie społeczne. Zrozumiałe jest więc, że prawie wszystkie wypowiedzi naszej dyskusji specjalnie podkreślają rolę wychowawczą rodziny i odpowiedzialność, jaka ciąży na rodzicach katolickich wobec Boga i społeczeństwa.

Dyskusja, jaka się wywiązała wokół problematyki rodziny współczesnej porusza istotne i ważne zagadnienia. Rodzina była zawsze w dużym stopniu refleksem zmian kulturowych i obyczajowych. Musiała być włączona w te zmiany i dostosowywać do nich metody i formy wychowawcze. Dziś, w okresie jednego z najważniejszych przełomów, jakie przeżywamy, zmiana stylu życia rodzinnego jest tym bardziej poddana jego skutkom. Z licznych problemów wysuniętych w dyskusji, jeden musi się specjalnie narzucić uwadze czytelnika, człowieka wierzącego. Jest nim zagadnienie religijnego wychowania dzieci.

Zagadnienie to było zawsze jednym z najważniejszych dla katolickiej rodziny, odpowiedzialnej przed Bogiem za dusze dzieci i świadomych obowiązków, wynikających z sakralnego charakteru małżeństwa. Dzisiejsza rodzina została wciągnięta w krąg obowiązków i zainteresowań społecznych. Szko-

ła nigdy nie mogła dać dziecku wystarczającego wychowania religijnego. Dawała tylko — niestety, często zbyt nieudolnie — naukę zasad wiary. To zaś, co nazywamy wychowaniem religijnym, może zawsze i tylko dać atmosfera domu rodzinnego. Idzie o to, w jaki sposób rodzice, przy swym tak bardzo pochłaniającym ich trybie życia, zawodowej pracy i aktywnym udziale w życiu społecznym, mogą spełnić ten najważniejszy dla ludzi wierzących obowiązek.

Powiedzmy z góry, że sprawa nie jest łatwa ani prosta. Że wymaga dużo prawdziwie dobrej woli i przeświadczenia o wadze tego zadania. Że trzeba tak zorganizować tryb życia w rodzinie, aby znalazł się czas na wychowywanie religijne dzieci i konieczne do tego przygotowanie się rodziców, szkolna nauka religii i katechizacja, w ośrodkach parafialnych jest tutaj duża pomocą. Daje ona metodycznie opracowaną i podaną naukę wiary. Ale zasady moralne, praktykę i styl życia wpaja tylko dom rodzinny. Jeśli panuje tam stałe świadomość rzeczywistości Boga i gdy obcowanie z Nim przez modlitwę i praktyki religijne nadają charakter chrześcijański domowi i rodzinie, wyniki wychowania religijnego będą najowocniejsze. Niezbędny jest tu przykład rodziców. W wieku przedszkolnym są oni dla dzieci największym autorytetem. Należy więc ten okres wyzyskać dla uformowania ich przyszłych charakterów. Dziecko ma sporą dozę krytycyzmu i łatwo dostrzeże wszelką niekonsekwencję i nieszczerłość w postępowaniu. Nie może więc w życiu rodzinnym być rozbieżności

między słowami a czynami; prawdy i zasady głoszone, muszą być realizowane.

Wdrażając dziecko do życia wiarą i do praktyk religijnych, rodzice muszą własnym życiem dać im przykład sugestywny i przekonujący. Dzieci muszą widzieć rodziców modlących się i przyjmujących sakramenty.

Okres przygotowania dziecka do 1-szej Komunii św. daje rodzicom najlepszą, jedyną niepowtarzalną sposobność utrwalenia i pogłębienia pojęć religijnych i przeżycia wspólnie z dzieckiem ważnej chwili złączenia jego z Bogiem. Pierwsza Komunia św. wywiera wpływ na całe życie i zostawia trwałe wspomnienie. Rodzice muszą nie tylko starać się, aby dziecko uczęszczało pilnie na naukę przygotowującą do Komunii św. ale z przygotowaniem szkolnym czy parafialnym współdziałać, przez indywidualne rozmowy, dostarczenie odpowiedniej lektury i wytworzenie wokół tego dnia atmosfery skupienia, ciszy i radości. Pierwsze spotkanie dziecka z Bogiem niech będzie wspólnym przeżyciem rodziców i dziecka.

Katolicy rodzice powinni razem z dzieckiem przyjąć w tym dniu Komunię św. Takie złączenie duchowe i przeżycie religijne jest silną spójnią rodzinną a dziecka umocnieniem zaufania i miłości do rodziców.

Nasuwa się tu jedna konieczna uwaga: przygotowania do zewnętrznego strony tego aktu religijnego muszą być zredukowane, postawione na ostatnim planie. Sukienka, bukiet, fotografia, nie mogą przysłonić dziecku istotnego sensu głębokiego przeżycia tej uroczystej chwili. A. Reiterowa

Krystyna SZULC

Sztuka w życiu dziecka

WOTWARTYCH oczach dziecka odbija się dostrzegany świat. Jest zdumiewająco bogaty, wciąż nowy, zmienny, pełen barw, ruchu, dźwięków.

Nienazwany jeszcze, a przecież już może nęcić, cieszyć lub przeżać.

Te wrażenia, zdziwienia, emocje przenikają do głębi duszy dziecka.

Typ zabawki ludowej jest najwłaściwszym rozwiązaniem zagadnienia może właśnie dlatego, że prymitywna sztuka plastyczna dziecka ma tak wielkie pokrewieństwo ze sztuką ludową.

Wspólnym podłożem jest tu a. naturalizm, skłonności deformacji plastycznej, schematyczne ujęcie wizji.

go osiągnąć trzeba zgłębić samą istotę rzeczy, dostrzec realność istniejącej sytuacji, ocenić realność samego faktu, wyodrębnić zasadnicze cechy zjawisk i z tego zbudować dopiero artystyczną całość.

Dopiero w szkolnych latach, gdy obserwacja dziecka zaczyna brać górę nad wiedzą o przedmiocie, realizm wzrokowy pozwala dziecku rysować tak jak ono widzi. I dopiero w książce czytanej już samodzielnie, w książce o prawdziwym życiu szkolnej gromady, o historycznym bohaterze, o zwierzętach zamieszkujących nasze pola i lasy ilustracja realistyczna jest naprawdę słuszną logicznie.

Z radością powitany został cykl książeczek obrazkowych wydany z inicjatywy Min. Kultury i Sztuki. Artystyczna, łatwa ilustracja opowiada dziecku swym barwnym graficznym językiem pierwszą historię o porach roku, górach, lesie, zwierzętach. Przemiany życia wsi, praca człowieka nie wysuwa się tu natrętnie, reklamowo, choć jest istotnym zagadnieniem.

Kolorowo, prosto, dziecięco nawiązuje obraz kwitnącego sadu, lub kolonii nowych domków w „Wiosnie” Siemiaszkowej da każdemu dziecku estetyczne, emocjonalne przeżycie.

Fakt, że najlepsi graficy są autorami tych książeczek dla przedszkolnego czytelnika świadczy, jak wielką wagę przykładają się do zagadnienia pierwszej książki.

W książeczce obrazkowej jak i w utworach literackich dla najmłodszych dzieci obowiązuje jednak żywa dynamiczna akcja, silna ekspresja ruchu i humor. Ze względu na ruchliwą psychikę dziecka konieczna jest atrakcyjność książki-zabawki.

Opracowanie tematu wymaga uwzględnienia tych potrzeb małego odbiorcy. Obrazkowa książeczka musi być nie tylko pierwszą powieścią, ale i pierwszym teatrem dziecka.

Obucząc na codzienność z kolorowymi książeczkami, zabawkami i zabawnymi mebelkami, które wypełniają sale przedszkola, dziecinne kawiarnie, fryzjerie, poczekalnie dentystyczne, dziecko chronione jest przed niebezpiecznymi skutkami przykrych wrażeń samotności, ośmieszenia, strachu.

Świat ten z każdym dnem rośnie, rozwija się coraz szerzej, bogaciej, piękniej. Przybysza doświadczeń i wiadomości. Rosną zainteresowania twórcze dziecka, rozwija się fantazja.

Od zabawki do kukielkowego teatru jest łatwa i krótka droga dla dziecka. Trudniejsze są problemy kukielkowego widowiska i samych kukielkowych aktorów.

Rozmiar lalek, proporcje, ekspresja wpływają przecież na osiągnięcie dodatnich lub ujemnych wrażeń. Zbyt ostra karykatura, brzydota niezabarwiona śmiesznością wywołuje uczucie lęku i głośny płacz. Uznając zasadę, że przykrych wrażeń nie należy utrzymywać w duszy dziecka ze specjalnym pietyzmem trzeba podejść do kukielki opracowując jej typ.

W ilustracji książkowej dopuszczalna jest groteska — nigdy oszpecająca karykatura. A teatr przecież wielokrotnie potęgował wrażenia przez żywy głos i gest, przez swoją trójwymiarowość.

W wystawionej przez teatr kukielkowej bajce Mickiewicza „Pani Twardowska” niefortunnie pomysłana była rola pani Twardowskiej. Nie pasowała do nastroju Mickiewiczowskiego wiersza — wielka, ponura o drapieżnym wy-



Ilustracja Zofii Fijałkowskiej

razie złego czarnoksiężnika, budziła grozę w małych widzach, a nawet spazmy.

Na szczęście liczne zespoły smaczanych aktorów, powstające w artystycznych pracowniach nie mają już tych zasadniczych wad i cieszą się sympatią najmłodszej publiczności, powodując wybuchi szczerego śmiechu, okrzyki radosnego podziwu.

Subtelna groteska strojna we wdzięk i uśmiech wyraża zdrowo i słusznie rozumiany humor zarówno w zabawce, kukielce jak i ilustracji. W książce stwarza nastroj wesołości i pogody, przyciąga, zachęca do pograżenia się w baśniową treść.

Ilustracje Fijałkowskiej w książce Zarembiny „A... a... a... kotki dwa” i wznowionej książce M. Konopnickiej „Na jagody” dzięki doskonale wycytnym ruchom, kolorowości i stylizacji tworzą naprawdę strefę bajkową — nierze-

nie wyczute przez ilustratora. Dramatyczna walka zabawek z myszami i obecna wszędzie atmosfera niezwykłości nie przeraża, ale podnieca wyobraźnię, porusza ją do głębi.

Baśniową wizję budzą swą ekspresją pędzące sanie Królowej Śniegu w książce z bajkami Andersena, również ilustrowanej przez Szancera.

Natomiast w obrazku do bajki o „żołnierzyku ołowianym” szczer jest tak naturalistyczny, że nie daje się wprowadzić w świat andersenowskiej baśni. Nie nadaje się do roli aktora fantastycznego dramatu, jest typowym kanałowym szczerem. Wprawdzie miał uosabiać najniższą prozę, ale przez podkreślenie naturalistycznych cech zewnętrznych nie został tu osiągnięty cel właściwy. Odpowiedniejszą bardziej była by chyba ekspresyjna groteska.

W książce „Entliczek Pentliczek”



Ilustracja Olgi Siemiaszkowej

czywistą, tętnącą uśmiechem i radością.

Pełne baśniowej tajemniczości są ilustracje J. M. Szancera w książce pt. „Dziadek do orzechów”. Przeznaczone dla starszych dzieci. Postać dziwnego radcy i cała niesamowita przygoda zostały ideal-

nie wyczute przez ilustratora. Dramatyczna walka zabawek z myszami i obecna wszędzie atmosfera niezwykłości nie przeraża, ale podnieca wyobraźnię, porusza ją do głębi.

Znany dzieciom wszystkich krajów „Kopciuszek” znów błyszcząco wspinała urodą nie na balu

(Dokończenie na str. 10)



Rysunek J. M. Szancera

Pamięć skojarzeniowa przenosi je często zupełnie nieoczekiwanie w poważne i szerokie dziedziny późniejszego działania.

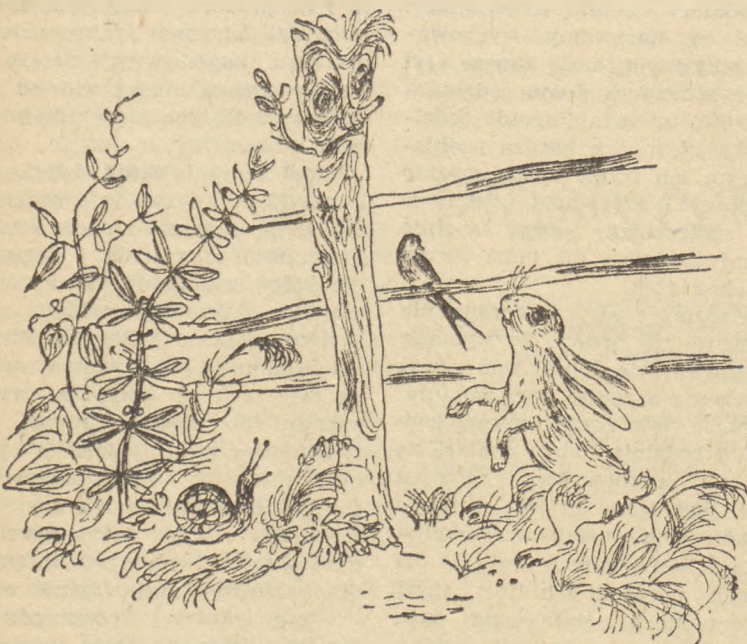
Dziecko poznaje otaczające go przedmioty i zjawiska, nadając im imię. — Wcześniej w mowie dziecka zjawia się pytanie „co to?”

Poznając coś dziecko zdumiewa się radośnie. Wszystko, co dostrze- ga dziwi je i zachwyca. Dlatego należy z wielkim pietyzmem i zrozumieniem wybrać taki zespół bodźców działających na psychikę, który przez swe akcenty i przez atrakcyjność oddziaływałby pomyślnie i zgodnie z potrzebami dziecka, poruszając wyobraźnię i dając mu radosne przeżycia.

Naiwność formy, uproszczenie, podkreślenie istotnych cech, najbardziej charakterystycznych dla pojęcia, które ma wyrazić, skłaniają się na całość artystyczną, ekspresyjną, odtwarzającą świat wewnętrznych przeżyć, bez wier- nego naśladowania obrazu świata rzeczywistego.

Pierwsza książka oglądana jest przez dziecko jak zabawka. Jeżeli nęci barwą, zaciekawia i dziwi daje niezapomniane przeżycie, powracające wielokrotnie w dalszych latach.

Treść tej pierwszej książki napisana powinna być obrazkami. Piaskie, dwuwymiarowe istotki zbudowane z kolorowych kresek i



Rysunek J. M. Szancera

W najwcześniejszym już okresie dzieciństwa spełnia te zadania dobra zabawka.

Dorosły człowiek wyraża siebie poprzez pracę, dziecko przez zabawę. Wyżywa się, komponuje, wielokrotnie w swych możliwościach, uczy się żyć w świecie fantazji.

Typ zabawki przeznaczonej dla dziecka w wieku przedszkolnym powinien być syntetyczny, zgodnie ze światem schematycznie stylizującej wyobraźni i twórczości rysunkowej dziecka.

Zabawka jest przecież wzorem, uproszczoną artystycznie miniaturką świata.

plamek mają swój własny czarowany świat. Nie dadzą się przestawić, ani zdjąć palcem z białej karty, gdy wyciągają się ku nim małe rączki, ale przecież żyją, wypowiadają swe uczucia ruchem, wyrazem.

Świat obrazków nie może być światem realnym — jest światem bajki. Wolno mu mieć bogatsze i żywsze barwy i schematyczną, stylizowaną budowę, jaką mają rysunki dziecięce.

Nie obowiązuje w tym świecie ani perspektywa, ani naturalne proporcje. Realizm artystyczny nie polega bowiem na wiernym kopowaniu rzeczywistego świata. Aby

Anna ROŻNOWSKA

TWÓRCZOŚĆ LITERACKA DZIECI

INICJATYWA twórcza dzieci przejawia się w rozmaitych dziedzinach. Najbardziej znane są rysunki, wycinanki i modelowanie. Dużo było wystaw rysunków dziecięcych o różnej tematyce, dużo się o tym pisało i mówiło. Znacznie mniej zajmowano się dotąd twórczością literacką, choć jest to dziedzina bogata i ciekawa.

Dziecko obdarzone fantazją, zadziwiające dorosłego odbiorcę swymi koncepcjami — tworzy ciągle, począwszy od najmłodszych lat. „Zmyśla” — jak się popularnie mówi — przedziwne historie, układając różne własne zabawy i przeżywa swoje bajki, jak najprawdziwszą prawdę. Tak jest we wczesnym dzieciństwie. Później wiele dzieci zaczyna pisać. Często powstają plagiaty, ale trzeba je podzielić na świadome i nieświadome i tych drugich jest znacznie więcej. Po prostu, pod wpływem lektury czy opowiadań, dziecko pisze rzeczy, gdzie występują postacie i tematy znane mu, ale przetwarza je, nadaje im nowy sens, co już jest twórcze, choć niezupełnie oryginalne. Wreszcie twórczość prawdziwa, oryginalna. I tu widać wpływ lektury i środowiska, ale przejawia się on raczej w formie języka i tematyce a nie w treści.

Małe dzieci często opowiadają bajki, gdzie występują czarownice, czarne koty i inne niesamowite postacie, zaczerpnięte ze słyszanych, ciągle niestety jeszcze pokutujących, budzących grozę, historii. Dziecko oczywiście boi się takich bajek, ale okazuje się, że samo doskonale sobie radzi z tym problemem. Po prostu umieszcza straszne postacie we własnej bajce i likwiduje je. Oto jak wygląda bajka siedmioletniego autora:

„Była raz czarownica, włosy miała zielone, oczy czerwone, grzbiec rogaty i tylko dwa zęby. Miała kota czarnego. Czarodziej się przemienił i zaczarował czarownicę. Ją zrobił ptaszkiem, sam nie chciał być czarodziejem, chciał, aby tylko byli ludzie, a nie czarodziej. Ojca zdradził i wszystkich czarodziejów”. Zamiast ziej czarownicy — ptaszek, a sam czarodziej chce, żeby byli tylko ludzie i zdradza swój zaczarowany świat — jednym słowem nie ma już się kogo bać.

Dzieci nieco starsze, w wieku szkolnym, piszą raczej wierszem niż prozą. Może proza jest mniej atrakcyjna, bo i tak ciągle muszą posługiwać się nią w szkole. Dzieci lubią wiersze, przyswajają je na ogół niezmiernie łatwo, bawi je rytm — więc próbują pisać. Zresztą różne są motywy, często chęć powiedzenia z dumą: „a ja piszę wiersze!”, czasem jest to rodzaj zabawy w dobieranie rymów, zupełnie jak przy rozwiązywaniu łamigłówek, ale wśród dziecięcych wierszy naprawdę można znaleźć wiele ciekawych, oryginalnych i zasługujących na miano twórczości. Tymi napewno warto się zająć, warto je analizować, warto pomagać dzieciom nie w sensie jakichś „dorośliwych” sugestii, które źle wpływają by na świeżość i bezpośredniość dziecięcych koncepcji, ale przez umiejętne poprawianie błędów, udoskonalenie formy, wskazanie możliwości rozwoju, odpowiednio dobranej lektury itd.

A teraz dla ilustracji parę przykładów. Na początek wyczyn typowo grafomański p. t. „Droga do szkoły” (autorka ma 11 lat). Jest to długa opowieść o podanej w tytule drodze do szkoły, a w następnych strofach mówi się o całym mnóstwie innych spraw, zupełnie nie związanych z tematem i niepowiązanych ze sobą w żaden sposób. Są i pseudo-liryczne dygresje, np. strofka, mówiąca o modlitwie w kościele:

„Gdy wejdiesz, kłęcz tu zawsze
dzieci gromadka
Swe próbki ufnie polecając Bogu,
A Bóg je usłysz, i
Jezu, ufam Tobie...”

Trudno oczywiście doszukać się w tym wierszu artyzmu. Następne, epickie opowiadanie o wzajemnej pomocy w szkole, z którego przytaczam tylko dwie strofy, jest prawdopodobnie zabawą w dobieranie rymów:

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet
Lubelski

„Więc już w całej klasie
Trwa niespodzianeczka
Chce mu pomóc nawet
Maleńka Haneczka”.

A na zakończenie:

„Musi coś uczynić
Młodego dla Jezuska
A wtedy jego duszę
Wiatr miłości muska!

Dalej już będą przykłady może niezupełnie oryginalne, ale dowodzące pewnych zdolności. W pierwszym uderza melodyjność, pokrewna pieśniom regionalnym. Jest to „Piosenka o wiośnie” (dziecko 11-letnie).

O wiośnie, o wiośnie
Wietrzyk wieje radośnie.
O wiośnie, o wiośnie
Wietrzyk wieje radośnie.

Wyszedł z domu
Januszek, Januszek
Zerwał z klombu
Kwiatuszek, kwiatuszek.

O wiośnie, o wiośnie
Słonko grzeje radośnie,
O wiośnie, o wiośnie
Słonko grzeje radośnie.

Wypadł z domu
Oleczek, Oleczek
Zerwał sobie kwiateczek
Kwiateczek, kwiateczek.

O wiośnie, o wiośnie
Ptaszek śpiewa radośnie.
O wiośnie, o wiośnie
Ptaszek śpiewa radośnie.

Następny, to epicki wierszyk, napisany przez małą, dziewięcioletnią dziewczynkę:

„NOWA HUTA”

Długi pociąg pędzi wprost
Poprzez lasy, poprzez most.
Mija domy, mija pola
A w pociągu jedzie Tola.

Tola jedzie do Krakowa,
Tam, gdzie rośnie Huta Nowa
Pociąg pędzi, jest już tu,
Sapie, sapie, brak mu tchu —
pach, pach, pach!

W tych przykładach widać już łatwość pisania, pewną wrażliwość artystyczną i trudno je uznać jedynie za zabawę w układanie rymów.

Wreszcie na zakończenie dwa

wiersze, odbiegające znacznie swym poziomem od poprzednich. Pierwszy, pisany przez dziecko 9-letnie ma jeszcze usterki, ale zachwyca w nim zarówno forma, jak i treść — a przede wszystkim stopniowe osiągnięcie nastroju. Oto pełny tekst:

ZMROK W LESIE.

Słońce za chmury się chowa
Okrywa je zorza różowa,
Płynąca po błękitach,
Jak krasny kółko w życie.

Ucichną głosy ptasząt śpiewające,
Świerszcze przestaną cykać na łące
Półmrok zalegnie wokół,
Z wyprawy wraca sokół.

Las szumiał, jakby zdęczały,
Pod świerkiem przycupnął zajac
drząc cały,
Puchacz zaczął hukać,
Jeż pożywienia szukać.

Wszystko, co dzienne upadnie,
Co nocne zacznie się rodzić.
Jest taka ciemność wokół,
Ze boję się z domu wychodzić.

Drugi wiersz świadczy niewątpliwie o niezwykłym odczuciu i zdolnościach dziecka, 11-letniej dziewczynki.

Aż zdumiewająca jest siła tego krótkiego wiersza:

POEZJA.

Poezja myśli, marzy, knuje,
Kędy w tatrzańskich górach zbóje,
Mickiewiczowskich lasów knuje
I Słowackiego biedne dzieje.

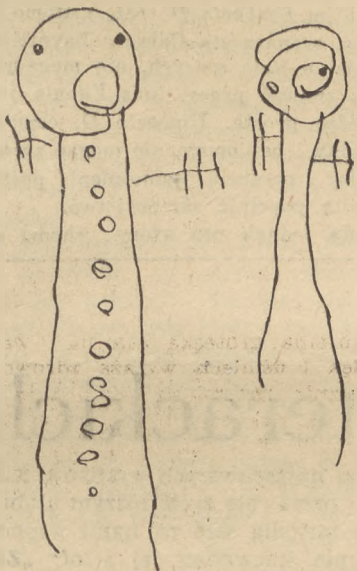
Trudno mówić, w jakim stopniu literackie utwory dziecięce zapowiadają przyszły talent. Powstają one pod wpływem szeregu motywów, które kwalifikują się bardziej do analizy psychologicznej niż artystycznej. Mogą jednak i powinny stanowić cenną wskazówkę dla rodziców i wychowawców, którzy poprzez poznanie twórczości dziecka zbliżą się niewątpliwie do świata jego przeżyć, uczuć i zrozumieli.

Literacka twórczość małych autorów powinna doczekać się badań podobnie jak inne dziedziny twórczości dziecięcej, od których nie jest ani mniej ważna ani mniej interesująca. Narastające ilościowo materiały jak i znaczenie tej problematyki kazały niniejszy artykuł traktować jedynie jako zapowiedź pełniejszego opracowania, o które pokusić się będziemy próbowali w przyszłości.

Anna Rożnowska

Zofia CZERMAN

Rysunek dziecka



JESZCZE dzisiaj można zaobserwować wśród rodziców lekceważący stosunek do „twórczości” dziecka, do jego „grymołów”; do jego „sfalszowanych melodii” itp.

Stosunek ten jest lekceważący, gdyż dorośli chcieliby widzieć w rysunku dziecka dokładne odwzorowanie natury, podczas gdy dziecko przekazuje początkowo w swym rysunku jedynie posiadaną wiedzę o danym przedmiocie. Nie rysuje ono na podstawie modelu, ale we dług tego co potrafi sobie o danej rzeczy pomyśleć, lub co o niej wie. Przy pomocy kresek, kropek, kółek próbuje dziecko skonstruować jakiś symbol, tworząc schematyczne rysunki (np. tzw. „ludziki”). Dziecko samodzielnie upraszcza sobie obraz natury, rysując tylko elementy dla niego najbardziej istotne.

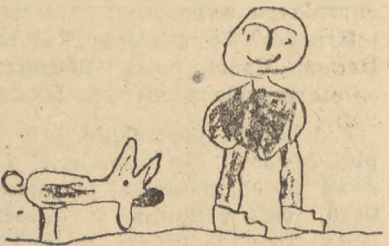
Te niezręczne rysunki są przede wszystkim świadectwem budzącego się intelektu. Słusznie jest zachęcać dziecko do rysowania, gdyż rysunek ma duże znaczenie dla jego rozwoju umysłowego, a stopniowo staje się pierwszorzędnym środkiem wyrazu przeżyć wewnętrznych. Dzięki rysunkom dziecko wyrabia w sobie spostrzegawczość, zmysł obserwacji oraz poczucie estetyczne, a także wzbogaca sferę swej osobowości.

Ażby śledząc rozwój rysunku dziecka lepiej go zrozumieć, należy uprzytomnić sobie jak ten rozwój przebiega.

Najwcześniejszy rysunek dziecka jest bagażnikiem. Trzymając nie-

udolnie ołówek w ręce dziecko „rysuje” szereg hieroglifów, kresek, kropek, clesząc się z wykonanych znaków. Gdy dziecko zauważy, że jego skomplikowane bagroty stają się podobne do rzeczy z otoczenia zaczyna „tworzyć”. Są to przeważnie ludzie i zwierzęta, zapewne dlatego, że te postacie najbardziej absorbują jego życie. Rysuje więc przede wszystkim to, co wie o danym przedmiocie. Dlatego „głównogoi” rysowane przez dzieci, mają obok olbrzymiej głowy, na ogół dość szczegółowo odтворzonej, jedynie kończyny. Fakt ten świadczy, że te rzeczy najbardziej zwracają uwagę dzieci.

W chwili gdy dziecko zauważy niedorzeczności w swoich rysunkach (np. nogi wyrastające z głowy), zaczyna swój rysunek poprawiać, tworząc schematy. Posiadają już one znacznie więcej szczegółów, ale dalszy ich rozwój postępuje powoli. Polega on na udoskonaleniu proporcji i uzupełnieniu brakujących szczegółów. Dziecko jednak jeszcze nie potrafi wyrazić akcji, mimiki itp. Rośnie



jednocześnie ilość rysowanych schematów, różnicując się na schematy ludzi, zwierząt i innych przedmiotów. W ten sposób przechodzą dzieci od rysunku uproszczonego do rysunku typowego.

W miarę nauki szkolnej, zdobywania wiedzy i doświadczenia zaczyna dziecko stosować perspektywę oraz nadawać swoim postaciom ruch. Treść również staje się coraz bogatsza.

Stopień umiętności rysowania nie jest jeszcze najważniejszą cechą rysunku dziecka. Chodzi bowiem raczej o pogłębienie przeżyć dziecka, które się w rysunku wypowiadają, a które w dużej mierze są niezależne od nauczania. Chodzi o wyrobienie i przygotowanie dziecka na przyjmowanie głębszych przeżyć estetycznych. Są jednostki bardziej uzdolnione, które już w najmłodszych latach wykazują „talent” w wyrażaniu swoich

przeżyć rysunkiem, ale z pewnością każde dziecko może się nauczyć poprawnie rysować. Nie są tu potrzebne jakieś wyjątkowe zdolności, tylko odpowiednie kierowanie tą „mową graficzną”, jaką dla dzieci jest rysunek.



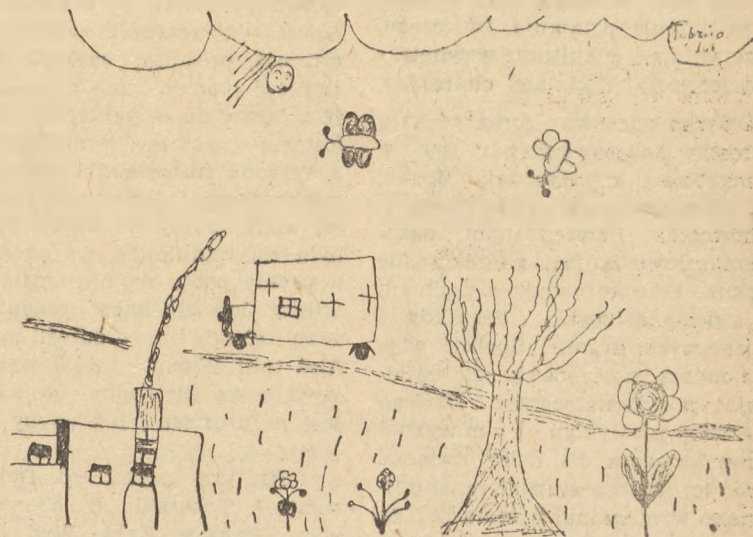
Bardzo poważną i dodatnią rolę mają tu do spełnienia rodzice. Jeżeli są oni dla dziecka towarzyszami i doradcami w tej dziedzinie, rozwój rysunku dziecka będzie spontanicznie czynił postępy. Rodzice muszą z dzieckiem przeżywać jego twórczość, muszą rozumieć jego dążenia i brać udział w jego zainteresowaniach. Sami mogą nie rysować, ale powinni mieć zdrowy, naturalny zmysł estetyczny. Muszą zachęcać dziecko do rysowania, wykazując zainteresowanie dla jego rysunków.

Wychowanie bowiem małego dziecka pod względem estetycznym polega przede wszystkim na zachęcaniu go do rysowania. Rysowanie jest jedną z zabaw dziecka, kształcącą umysł, zręcz-

ność ręki i oka. Zadaniem rodziców będzie dawanie dziecku papieru, ołówka, farb, ewentualnie rysowanie w obecności dziecka dla zachęcenia go, jeżeli samo nie wykazuje inicjatywy. Ale nie wolno poprawiać rysunków dziecka, lub mówić, że źle narysował, bo przez taką krytykę można zniszczyć urok zabawy rysowania. Jedyną formą pomocy w jego samorozwoju rysunkowym są rady (jeżeli dziecko rysuje np. domek bez okien, powiedzcie: „narysuj jeszcze okna”, albo zapytać się — „a gdzie są okna?”), lub pobudzanie fantazji i wytrwałości oraz zwracanie uwagi na każdy postęp.

Wystrzegać się należy metody naśladowania i kopii. Rysunek dziecka ma być wyrazem jego przeżyć, a nie odbiciem cudzych dzieł. Nie znaczy to, aby dziecko nie miało obserwować rzeczywistości, przeciwnie — dzięki niej uczy się ścisłości, ale błędne jest twierdzenie, że rysowanie wprost z natury kształci. Często bowiem jest ono mechaniczne i stwarza trudności, jakich dziecko nie jest w stanie pokonać, a które mogą je zniechęcić do rysowania w ogóle. Rysowanie z modelu powinno się zacząć dopiero wtedy, kiedy dziecko swobodnie operuje swoim indywidualnym językiem graficznym.

Głównym celem wychowawczym powinno być tu rozwijanie instynktu artystycznego, który w miarę rozwoju stanowić będzie podłoże kultury estetycznej. Zofia Czerman



FESTIWAL W CANNES

Każdy międzynarodowy festiwal filmowy powinien mieć charakter wielkiego spotkania filmowców całego świata. Spotkania, na którym realizatorzy wszystkich krajów mogą nie tylko pokazać swoje filmy ale także przedyskutować swoje doświadczenia i poglądy, poznać się wzajemnie i zrozumieć.

Festiwałe zachodnio-europejskie od dawna straciły charakter takich spotkań. Stały się powoli imprezą handlową, reklamową i to przede wszystkim dla filmów hollywoodzkich. Nagrody przyznawane przez jury Cannes czy w Wenecji są i były nagrodami przypadkowymi, dawanymi według niesprecyzowanych bliżej rzekomo estetycznych, kryteriów.

Niemniej wszystkie prawie ostatnie zachodnie festiwałe wbrew intencjom ich organizatorów, były coraz jaskrawszym i bardziej widocznym pokazem wyższości postępowej sztuki filmowej nad popieraną i reklamowaną kinematografią amerykańską. Georges Sadoul bilansując dorobek tegorocznego festiwalu w Cannes przede wszystkim podkreśla, że festiwal chociaż ubogi w naprawdę dobre filmy był wielkim dowodem wywołania się filmowców całego świata z pod wpływów estetyki hollywoodzkiej.

W ubiegłym roku festiwal w Cannes dzięki udziałowi Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej miał charakter prawdziwie międzynarodowy. Był nim, mimo stronniczości jury i skandalicznego posunięcia władz francuskich które nie ukrywając wrogości w stosunku do kinematografii radzieckiej w ostatniej niemal chwili zakazały projekcji radzieckiego filmu *Chiny wyzwolone*. „Trzy tygodnie festiwalu — pisał postępowy publicysta francuski Roger Boussinot — były przeżyciem pasjonującym. Zobaczyliśmy dzięki wyświetlanym filmom przekrój dzisiejszego świata. Dostrzeżliśmy wyraźną granicę między dwiema koncepcjami sztuki filmowej. Granicę między sztuką służącą śmierci i zagładzie i sztuką służącą życiu. Z jednej strony wynaturzenie, trucizna, wyolbrzymione wady, zbrodnie i wojna — z drugiej miłość człowieka, kult dobroci, dzielności i szlachetności, troska o humanistyczną wymowę i prawdę sztuki. Słowa Gorkiego „Człowiek — to

brzmi dumnie“ wydawały się łączyć najlepsze filmy całej kuli ziemskiej. Łączyć obrazy życia radzieckich kolchozów, mediolańskich przedmieść, dachów Paryża, nędznych podwórek Meksyku, ryżowych pól Chin“.

Tego rodzaju spotkanie było jednak bardzo niewygodne dla wszechwładnych przedstawicieli władz amerykańskich i dla rządu francuskiego. Pewien reakcyjny dziennikarz pisał w kwietniueszłego roku: „Jeden z publicystów amerykańskich oświadczył mi nie bez zdumienia, że francuska cenzura jest najbardziej tolerancyjna na świecie. Sądzę, że miał rację. Dowodem tego jest chociażby fakt, że filmy wyświetlane w Cannes nie były kwalifikowane przez komisję cenzuralną. Nie mają więc zezwolenia, obowiązującego w stosunku do wszystkich wyświetlanych filmów“.

W ciągu całego roku który upłynął od poprzedniego festiwalu francuska cenzura robiła co mogła by odczyścić się z zarzutu liberalizmu. Wszystkim filmom radzieckim nawet tym które były w Cannes wyświetlone i nagrodzone odmówiono wizy. Mimo protestów dziennikarzy i publiczności ani jeden nowy film radziecki nie ukazał się na francuskich ekranach. Także postępowe filmy zachodnio-europejskie były często dyskwalifikowane, lub bezitośnie wycinane („Ziemia drży“, „Topaze“, „Szkarałatna oberża“).

Tegoroczny Festiwal został dokładnie przygotowany i był wszelkimi siłami „oczyszczany“ z filmów postępowych. Nieobecność Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej nie wystarczała jeszcze organizatorom. Starali się także by z doboru filmów krajów zachodnio-europejskich, usunąć filmy postępowych reżyserów. W ostatniej niemal chwili pod naciskiem opinii publicznej włą-

czono do selekcji włoskiej nowy film Vittoria de Sica *Umberto D* i film Lattuada *Plaszcz* (zdyskwalifikowano jednak film Viscontiego *Najpiękniejsza*). Nacisk krytyki filmowej i najszerzej publiczności wpłynął także na włączenie do selekcji francuskiej postępowego, antywojennego filmu reż. Christiana Jaque'a *Fanfan la Tulipe* (tematem filmu

Wszyscy jesteśmy mordercami (tematem jego jest historia 4 ludzi skazanych przez sąd na karę śmierci. Cayatte udowodnia, że ci wszyscy ludzie których w imieniu społeczeństwa sędziowie skazują na śmierć, zawiniłi dlatego, że to samo społeczeństwo które ich teraz potępia pchnęło ich do zbrodni).

Festiwal został otwarty projekcją amerykańskiego filmu *Amerikanin w Paryżu*, który został bardzo chłodno przyjęty i przez publiczność i przez krytykę. Inne filmy amerykańskie nie wzbudziły także zainteresowania, a angielski rasistowski film *Placz mój kochany kraju* był przyjęty z oburzeniem.

Cała prasa francuska wymieniała natomiast jako wydarzenie festiwalu filmy włoskie i francuskie. Z włoskich jedynie komedia Renato Castellaniego *Nadziei za 2 grosze* otrzymała nagrodę. Inne zostały, w niezrozumiały sposób pominięte chociaż musiano przyznać że filmy włoskie były ze wszystkich najlepsze. *Nadziei za 2 grosze* to film o młodym bezrobotnym który nie może znaleźć pracy, potrzebnej mu tym bardziej, że chce się ożenić. Castellani opisując los włoskiego proletariatu, pokazał jednocześnie optymizm, żywotność i solidarność krzywdzonych ludzi. Poruszając podobne zagadnienie, jak de Sica w *Złocieżach rowerów* potraktował je komediowo, wykorzystując humor neapolitańskich przedmieść i włoskiej ulicy.

Film *Umberto D* (reż. Vittorio de Sica, scenarzysta Cesare Zavattini) mówi o losie starych, nie mogących już znaleźć pracy, ludzi. Fabuła jest bardzo prosta. Umberto D, emeryt, głodny i bezdomny, nie mogąc znieść nędzy i poczucia osamotnienia postanawia popełnić samobójstwo. Ma jednak psa który chodzi za

nim wszędzie. Kiedy Umberto kładzie się na szynach pies widząc pędzący pociąg zaczyna wyc z przerażenia ale nie chce odejść od swego pana. Umberto by ratować tego jedynego przyjaciela w ostatniej chwili ucieka z toru.

Film Lattuada *Plaszcz* jest adaptacją noweli Gogola, przeniesieniem akcji do dzisiejszych Włoch. — Mimo entuzjastycznych recenzji w prasie film nie otrzymał żadnego odznaczenia, jury bowiem jak pisze Sadoul obawiało się, że nagradzając pośrednio Gogola urazi swoich amerykańskich mocodawców.

Niewygodny także dla organizatorów festiwalu i niesłusznie przemilczany w liście nagrodzonych był wg opinii francuskiej prasy film emigranta hiszpańskiego osiadłego w Meksyku: Luisa Bunuela *Droga ku niebu*. Tematem filmu jest pokazana w komediowym ujęciu nędza meksykańskiej młodzieży.

Decyzja podzielenia Grand prix między włoski film *Nadziei za 2 grosze* i amerykański: *Otello* została przyjęta przez uczestników festiwalu gwiazdami i spontanicznymi protestami. Także z oburzeniem przyjęto odznaczenie amerykańskich aktorów, decyzję zupełnie nieoczekiwaną, cała prasa bowiem typowała do tych nagród Gerarda Philpa (za tytułową rolę w filmie *Fanfan la Tulipe* i szwedzką aktorkę Ulie Jacobson za główną rolę w filmie *Przetańczyła cale lato*).

Postępowa prasa francuska podsumowując wyniki festiwalu stwierdza, że mimo jaskrawej stronniczości jury i presji amerykańskiej wpływającej na wyeliminowanie z Festiwalu wielu ciekawych filmów — festiwal stał się jeszcze jednym zwycięstwem humanistycznej i postępowej sztuki filmowej.

Leszcz

NAGRODY FESTIWALU W CANNES

Grand prix: (2 równorzędne nagrody *Nadziei za 2 grosze* reż. Renato Castellani (Włochy) i *Otello* reż. Orson Welles (Ameryka)).

Nagroda specjalna jury: *Wszyscy jesteśmy mordercami* reż. André Cayatte (Francja).

Nagroda za reżyserię: Christian Jaque, za film *Fanfan la Tulipe* (Francja).

Nagroda za najlepszy wybór filmów zgłoszonych przez jeden kraj: *Włochy*.

Nagrody za najlepsze kreacje aktorskie: Lee Grant, Marlon Brando (Ameryka).

Nagroda za opracowanie muzyczne: Sven Sköld za muzykę do filmu *Przetańczyła cale lato* (Szwecja).

Grand prix za krótki metraż: *Zarzućmy sieci* (Holandia).

Nagroda za fotografię i opracowanie plastyczne: Kohei Sugiyama za film *Romans gejszy* (Japonia).

Stefania OSTROMĘCKA

Piękno w utworach literackich dla dzieci

„Jednym z istotnych znamion kultury języka jest umiejętność dostosowywania środków językowych do charakteru wypowiedzi“.

Oto początek rozdziału zatytułowanego: „Mowa poetycka“ w ciekawej książce pod tytułem „Kultura języka“, która ukazała się niedawno na rynku księgarskim.

Umiejętność dostosowywania środków językowych w poezji lub prozie przeznaczonej dla dziecka, jest trudnym zadaniem. Uszczuplone słownictwo, ograniczone możliwości powiązań frazeologicznych i metaforyki, zubożony zapas rymów, rytmów i miar, pokusa ułatwień przy rymowaniu zdrobnieniami — wszystko to sprawia, że piękno w utworach dla dzieci nie jest łatwym ani częstym osiągnięciem, a grzechy są liczne.

W prozie utrudnia zadanie pokusa ciągłego pouczenia, urabiania. Stąd sztuczność, maskowane poczucie wyższości, obcość. Cechy artysty przy rymowaniu w utworach dla dzieci — to trafność, swoboda, rzeczowość, prostota, wreszcie melodyjność i polot. Ale prostota nie jest łatwa do osiągnięcia. Często autorki i autorzy wymyślają niestworzone historie dla dzieci, jak gdyby droga jedyna, najkrótsza — od wizji twórcy do duszy dziecka była najtrudniejsza do odnalezienia. Gdy poeta na nią trafia, czytelnicy lub słuchacze reagują od razu i nieomylnie, a dorośli mówią: Ależ tak! Właśnie tak. I wszystko wydaje się nienaturalne, bo właśnie jest najprostsze i jak gdyby jedy-

ne, i słowa są przecież takie łatwe i jest ich tak niewiele.

A przecież już w prozie dla najmłodszych można osiągnąć artyzm, wdzięk, wyraz. Rozumiał to bardzo dobrze Falski, dobierając i tworząc pierwsze teksty w zakończeniu elementarza. Teksty te były żywe, lapidarne i trafne. Zrozumiała Kownacka w „Pamiętniku Plastusia“. Utwory te spełniały właśnie wyżej cytowany postulat „umiejętności dostosowania środków do charakteru wypowiedzi“. „Gaptuś i Kruczek“ Zawadzkiej, „Taś taś“ Hertz, „Uparty kotek“ Biłyszewa — oto przykłady udanych tekstów.

Z tekstami poetyckimi było lepiej, bogaciej. No oczywiście! Ludowa gadka, piosenka, przysłowia, baśń, pieśń religijna to przecież istna kopalnia szczerzego piękna. Pierwsza sięgnęła po te skarby dla dzieci Rogoszówna, układając zbiorek „Srocza kaszke warzyła“, sięgały Ostrowska, Porazińska, Januszewska, Zarembina, Kownacka czerpiąc z ich słownictwa i metaforyki, wzbogacając przy tym ludowe wątki własnymi indywidualnościami twórczymi. Zrobiło się kolorowo w drobnych utworach, powiastkach, tekstach teatrów kukielkowych, małych poematach i baśniach. Była to wymiana bogactw. Ileż słów rodem z głuchej wsi przyniosła Porazińska dzieciom z miasta. Ile i Porazińska i Januszewska wplotły staropolszczyzny w nowy żywy język. Jakis nieznanymi, ongi — nie z lirą, a z pastuszką fujarką wędrujący poeta, czy babka-epik wymyślił te formy, które stały się wątkiem literackim dla wielu autorów.

Maria Konopnicka wcześniej jeszcze uznała świat dziecięcy god-

nym najzarliwszym wysiłków. Nie raz przez całe życie niczym ulubioną melodią szło za nami wspomnienie śpiewności jej strof: „Zaszło już słońce, wśród złotych zórz, kłęknił dziecinko i rączki złóż“. „A czemu wy chłodne rosy padacie gdy ja nagi, gdy ja bosy, głód w chacie“. Konopnicka w swych najlepszych utworach była jak wtajemniczona. Wiedziała o dzieciach coś, co wiedzą tylko one — i poeci. Napisała przecież „Sierotkę Marysię“.

Z bogatego bardzo dorobku lirycznej poezji Staffa dostał się dzieciom taki wierszyk o deszczu majowym: „Rosi deszczyk nam na głowy, srebrny, złoty, brylantowy. Iskry, perły i diamenty lecą z chmury uśmiechniętej. To klejnoty a nie deszcze. Jeszcze, jeszcze. Jak szeleszcze... Szemrze, szepce, szumi, śpiewa. Trawy cieszą się i drzewa“.

Ale lata mijały i życie niesło nową treść... Przybywało słów, tworzyły się nowe ich powiązania. Fajarka, rosa, wietrzyk, promień słońca... no tak to zawsze... Ale... „Halo, halo!! Tutaj ptasie radio w brzozywym gaju. Nadajemy audycję z ptasiego kraju... proszę niech każdy nastawi aparat, bo sfrunęły się ptaszki dla odbycia narađ: po pierwsze — w sprawie, co świtem piszczy w trawie, po drugie — gdzie się ukrywa echo w lesie, po trzecie — kto się ma pierwszy kąpać w rosie?“.

I oto śleżka wzywa na czarodziejską górę poezji od technicznego słówka „aparat“, aż po wieść cudną, a niepożyteczną: kto też pierwszy ma się wykąpać w rosie?

Sypie się ożywcza rosa, jakby dotkniętych paleczką posusznych poetom czasowników, przymiotni-

ków, rzeczowników, a wszystkie łączą się tak, że blask jednego pada na drugi i płoną i mienią się barwami i odkrywają swoje oblicza prawdziwe — aż tak piękne? Od Staffa dowiedziało się dziecko, że deszcz majowy rosi, szemrze, szumi, szepce, od Tuwima, że lokomotywa dudni, turkoce i puka i stuka, że jest tłusta, zziłajana, zdyszana... Ze oto... sterczy pstryczek, elektryczek... jak tym pstryczkiem zrobić pstryk! to się światło robi w mig!

A potem te same słowa opowiadają... jak to „Pan Tom buduje dom“, „Jak trasa śpiewa“... i o planie sześciolatnim i w ogóle o tym jak ludzie pracują, radują się, walczą, jak padają i zwyciężają. Aż wprowadzą dziecko i młodzież w świat wielkiego dorobku piękna dorosłych.

W miarę jak życie wzbogaca się o nową treść, w miarę jak włączamy i życie dzieci w rwący jego nurt, wzbogaca się słownictwo i nowe tematy wołają o sztukę, która je wyrazi. Wróćmy teraz do studium o kulturze języka. Czytamy tam: „Zharmonizowanie form wypowiedzi, jej szczegółów treściowych i barw wyrazowych z sytuacją i charakterem wypowiedzi jest podstawowym czynnikiem piękna języka, kryterium estetycznym jego sprawności i kultury“. Dla dzieci, zwłaszcza w opracowaniach tematyki socjologicznej, technicznej nie wolno nam o tych wskazaniach zapomnieć. Ta wiedza, wraz z darem od nas niezależnym — talentem pozwoli, aby świat dorosłych służył dziecku w dziedzinie sztuki szczerze, rzetelnie, bez łamańców i kompromisów.

S. Ostromecka

Sztuka w życiu dziecka

(Dokończenie ze str. 8)

wprowadzić, ale na klermaszu książek. Dostał teraz wyraźnie obywatelstwo polskie, dzięki malarskiej wizji ilustratora Maciąga. Tak blisko, zrozumiały jest naszym dzieciom klimat tego barwnego, pełnego rozmachu rysunku. Plastyka tak jak poezja może tworzyć różnego stylu i różnego charakteru baśnie.

Suma wrażeń jaką dziecku dać mogą właściwie dobre zabawki, książki, kukiełki ma ogromne znaczenie wychowawcze. Ona bowiem daje impuls działania twórczego, przejawia się w kulturze wewnętrznej jednostki i kształci charakter.

Dziecko odczuwa coraz większą potrzebę wypowiedzenia się w twórczości artystycznej. Bogaci się sfera uczuciowa, estetyczna osobowości. Przyrodzonym dążeniem człowieka jest poszukiwanie piękna. Dziecko obcuje z pięknem w świecie zabawek, obrazków i muzycznych baśni. Spełnić więc one muszą swe zadanie jak najlepiej i jak najszczerzej. Dlatego poetom, plastynom i muzykom komponującym dla dzieci świadomość tej prawdy stawiać musi najwyższe wymagania w stosunku do własnej pracy.

Krzyszyna Szulc

* Kultura języka. S. Dobosiewicz. J. Tokarski. B. Węczorkiewicz. Państw. Zakł. Wyd. Szkolnych 1957

Cztery środy poetyckie

MIESIĘCZNY mniej więcej okres pracy warszawskiej Sekcji Poezji może świadczyć o dobrym „programie” stołecznych literatów. Cztery kolejne „środy poetyckie” (26.III, 9.IV, 23.IV i 7.V), z których pierwszą poświęcono próbie podsumowania dotychczasowego dorobku jednego z bardzo wybitnych poetów, następną — zagadnieniom raczej teoretycznym, trzecią — informacji o twórczości żydowskiej, a czwartą retrospektywnemu omówieniu tomu A. Słonimskiego wskazują na umiejętność zachowania proporcji w doborze zagadnień poddawanych dyskusjom.

FLASZEN O JASTRUNIE

LUDWIK Flaszen posiada niewątpliwy talent inteligentnej prowokacji. Jego niebanalny essay o twórczości Mieczysława Jastruna spotkał się na ogół z zarzutem oderwania poezji autora „Spotkania w czasie” od podłoża ideologicznego. To samo zagadnienie poruszali w swych wypowiedziach Jan Śpiewak, Arnold Ślücki, Stanisław Ryszard Dobrowolski. Że jednak tam, na zebraniu, braki te wyczerpująco uzupełnił Jacek Trznadel, (który przygotowuje większą pracę o Jastrunie na tegoroczny zjazd polonistów) — warto pokusić się tu o najogólniejsze choćby streścić tenże znanego już młodego krakowskiego krytyka.

Rezultat dwudziestokilkuletniej twórczości zamknięty w dziesięć tomów wierszy pozwala — zdaniem Flaszena — twierdzić, że zawiła i trudna, choć przecięta jedną tylko cezurą wojny, droga poetycka Mieczysława Jastruna znamienita jest ciągłością doświadczenia, jednym, zawsze tym samym bohaterem lirycznym.

Zmienność, która prowadzi do nikąd i do rezygnacji — oto światopoglądowy klimat przedwojennych wierszy Jastruna, jedyne na większą skalę polskiego symbolisty. Problemem głównym — problem czasu, przemijania. Trwałe, w myśl filozofii jastrunowskiej, są wyłącznie dzieła sztuki, toteż szansę uwiecznienia siebie daje tylko twórczość artystyczna.

Na okres wojenny przypada — termin przejęty w „jastrunologii” od Hieronima Michalskiego — „odnalezienie czasu historycznego”. Czas staje się konkretnym współzmiennikiem rzeczywistości ludzkiej, miarą zaś jego — historia. Ale najpierw nastąpiło odkrycie człowieka, którego nie było we wczesnych wierszach Jastruna, albo był, ale roztopiony w niszczącej substancji czasu, rozbita na atomy indywidualnej wrażliwości.

Z tych przesłanek wychodzą — zupełnie słusznie broni Flaszen — „Sezonu w Alpach”, źle na ogół rozumiane i przyjęte przez krytykę. To jest pozorny tylko regres poety, który przecież stanął w pierwszym szeregu odbudowujących naszą literaturę zaraz po wojnie. W rzeczywistości, tomik ten nie był nawet przypadkiem, był koniecznym niemal obrachunkiem rekwalifikacji po wojnie, przypominał rozmyślenia zdemobilizowanego żołnierza. Szwajcaria, kraj pięknej, spokojnej przyrody jest tu nawet nie tyle motywem biograficznym, co wielką metaforą. Zestrojony z nią jest wyraz poetycki kształtujący się przy pomocy wspomnienia i snu — swoistej obrony przed ciężarem koszmarnych zdarzeń. „Sezonu w Alpach” — to podsumowanie lat wojny, sprawdzenie własnej wrażliwości jako ucieczka od okrutnych wspomnień. — Ale mimo podobieństwa faktury poetyckiej, nie można „Sezonu w Alpach” uważać jedynie za nawrót do przedwojennej twórczości, utrzymuje on bowiem zdobycze lat wojny: potencjalną powszechność doświadczenia psychologicznego, która istnieje niezależnie od zewnętrznej złożoności sformułowań. „Sezonu w Alpach” utrwała również doświadczenie historyczne: pośrednio odnosi się doń wszystko, co zdaniem niektórych ma być tylko wewnętrznymi perypetiami

bohatera lirycznego, a i bezpośrednio pojawia się na przykład tam, gdzie dochodzą do głosu akcenty sprzeciwu wobec groźby nowej wojny.

Szczególnie mocno podkreśla Flaszen, że Jastrun nieustannie i świadomie kształtuje swą drogę intelektualną nie poprzestając na chwytaniu ulotnych nastrojów lecz dążąc do poetyckiego rozwiązania spraw zasadniczych. Pewną zatem przesadą jest dosyć utarta opinia, że Jastrun jest poetą jednego tematu; przeciwnie — poprzez czas — człowieka historię dochodzi poeta do szeregu tematów, którym za punkt wyjścia służą antynomie ułożone z dwu pojęć elementarnych: jednostka i społeczeństwo, sztuka i rzeczywistość, aktywność i bierność, pesymizm i optymizm etc. Napięcie liryczne poezji Jastruna rodzi się właśnie z poczucia konieczności powzięcia decyzji ostatecznej wprost tych przeciwności. Ostatecznie — człowiek odnajduje siebie w społeczeństwie, sprawuje władzę nad naturą; sztuka łączy się ściśle z afirmacją człowieka i obiektywizacją wyglądu rzeczy; czas — choć fizycznie panuje nad człowiekiem — jest jednak do pokonania; aktywność triumfuje nad postawą bierną. — Najtrudniejsza: utrwalenie czasu w historii możliwe jest dzięki temu, że działanie i twórczość mają sens dziedziczenia, to co pozostawi się po sobie — będzie służyć innym. Stąd właśnie częste u Jastruna rozmyślenia o przyszłej, szczęśliwej ludzkości, stąd i rezygnacja niekiedy, bo dla współczesnych nieśmiertelność osiągalna jest tylko w formie wyrzeczeń. Tak właśnie należy rozumieć ponadczasowość poezji Jastruna. Ponadczasowość, która bynajmniej nie jest równoznaczna z oderwaniem się od rzeczywistości dzisiejszej.

„Rok urodzaju” i „Barwy ziemi” są nawrotem do prostej ideologii „Rzeczy ludzkiej”. Trafnie umiemy rzecz Flaszen, gdy kładzie nacisk na fakt, iż spokojna filozofia Jastruna nie pozbawiona jest silnego ostrza polemicznego. Trzeźwy, wieczny laicyzm wiarą w twórczą moc i szlachetność człowieka, w historię dążącą do postępu — oto akcesoria tej polemiki z burżuazyjną mitologizacją rzeczywistości. Ale nie są to jedynie obrachunki inteligentne. W liryce Jastruna odnajduje się w najogólniejszej formie obraz usiłowań i zmagani naszej całej epoki. Poezja jego, rzetelna i bezkompromisowa, nie jest wprawdzie tak mobilizująca jak agitacyjna, lecz wartość jej polega właśnie na tym, że jest ona, by tak powiedzieć, „długodystansowa”.

K l a s y c y s t a — to, według Flaszena zbyt wąskie określenie osobowości twórczej Mieczysława Jastruna; Jastrun jest już k l a s y k i e m, wskazują na to formalne walory jego poezji. Omawiając ten aspekt twórczości autora „Rzeczy ludzkiej”, krytyk zatrzymuje się, by przeglądając całe bogactwo środków artystycznych, którymi Jastrun znakomicie się posługuje, zwrócić uwagę na retorykę jego wierszy. Figury retoryczne implikują specjalną logiczność budowy, dla Jastruna zaś właśnie intelektualne kształtowanie materiału jest szczególnie charakterystyczne. Inną cechą jego poezji — a stanowi to istotę klasycyzmu — jest unikanie niepowtarzalnych przeżyć na rzecz typowości. W swej poezji, którą nazwać można poezją pojęć światopoglądowych — posługuje się Jastrun ciekawą metodą przeplatania konkretów z symbolami: wprowadzając współczesne realia, poeta posługuje się nimi w tradycyjnych, niekiedy nawet metafizycznych kombinacjach. A przy tym wszystkim — nie gardzi Jastrun patosem.

Konkluzje Flaszena wydają się śmiałe lecz nie pozbawione słuszności, takie przynajmniej wrażenie odnosi się po wysłuchaniu jego essayu, przy streszczeniu którego nie podobna zachować precyzyjnego ciągu dowodowego. Urok poezji Jastruna — twier-

dzi Flaszen — polega na jedności koturnu zespolonego z najbardziej intymnym wzruszeniem.

LIRYKA CZY EPIKA?

PYTANIE to, które poprawniej powinno brzmieć: czy można mówić o spełnieniu zadań stojących przed naszą nową poezją, gdy stwierdzić trzeba całkowity brak epiki? — postawił Andrzej Wasilewski w dwa tygodnie później, na następnym zebraniu.

Sam referent, znużony jednostronnością dzisiejszej liryki, daje odpowiedź negatywną. Krytykuje nie tylko lirykę osobistą ale również tzw. poezję międzynarodową, która staje się często wygodną formą urzędzenia warsztatu poetyckiego. Słusznie podkreśla Wasilewski, że skarżyć się można nie na brak talentu wśród młodych poetów lecz na słabość ogólników, na nieprzetrawienie twórcze narodowych tradycji wersyfikacyjnych.

Jedną z zasadniczych przyczyn niepełności tematycznego zakresu współczesnej poezji widzi Wasilewski w ograniczaniu się do miniatury lirycznej a zupełnym prawie braku konkretów epickich. Zaciążyło tu, zdaniem referenta, dwudziestolecie międzywojenne. Wasilewski forsuje, tezę, iż podejmowanie prób epickich w tamtym okresie (Tuwim, Broniewski) jest wskaźnikiem postępowości tych pisarzy. — Za ciekawy ekaperiment uważa Wasilewski niedawno wydany tomik „Wiosna Sześciolatki” (autorzy: Braun, Mandalian, Woroszyński); mimo wszystkich braki — zanotować trzeba na dobro autorów, że rozpoczęli nowy gatunek poetycki.

Zarówno naczelnie twierdzenie referenta o konieczności stworzenia epiki nowej rzeczywistości jak i jego chęć ratowania zdecydowanie nieudanych utworów trzech młodych poetów — spotkały się z licznymi zastrzeżeniami zebranych. Z największą bodaj a próbą przyjęto wypowiedź Ryszarda Matuszewskiego, który — przypominając, że aby stworzyć dzieło epickie, czekać trzeba aż jakaś epoka będzie ostatecznie zamknięta, że epika sprzeciwia się dynamizmowi, którego naszej poezji przede wszystkim teraz potrzeba — wyraził zdanie, iż właśnie liryki, dobrej liryki nigdy obecnie nie będzie za dużo.

KILKA INFORMACJI

DŁUGI, bardzo długi referat informacyjny o literaturze żydowskiej, za szczególnym uwzględnieniem poezji, wygłosił B. Mark 23 kwietnia.

Literatura żydowska (nie hebrajska!) rozwinęła się najlepiej w Europie wschodniej. Początki jej były świeckie, później dopiero nawiązywała do religii, głównie poprzez popularyzację biblii dla kobiet. — W Polsce — narodziny literatury żydowskiej wiążą się ściśle z epoką Oświecenia, rozwija się też ona dobrze w wieku XIX. Literatura ta od samego początku opiera się o tradycje ludowe.

Rozkwit literatury żydowskiej przypada w Polsce na lata trzydzieste obecnego stulecia, przechodzi też ona charakterystyczne fazy rozwoju od naturalizmu, biologizmu, nawet parnasizmu do realizmu krytycznego.

Osobny rozdział, to okres okupacji hitlerowskiej, literatura Ghetta. W ocalałych z tego czasu utworach często szwankuje ze zrozumiałych względów strona artystyczna, nie jest to jednak literatura śmierci lecz przeciwnie — buntu i wiary w człowieka, chociaż dominującym motywem jest motyw głodu.

Obecnie — szczerze choć powiększające się grono poetów żydowskich włącza się do ogólnego nurtu twórczości, koncentrując swą uwagę na problematyce dnia dzisiejszego. Specyficzną cechą tej poezji jest dodatkowe zajmowanie się zagadnieniami swego narodu.

DYSKUSJA O SŁONIMSKIM

O GŁOSZENIE brzmiało nader pojętnie: Paweł Hertz będzie zagajał dyskusję o wierszach Antoniego Słonimskiego. O poecie nieprzeciętnej miary będzie mówił wybitny poeta i krytyk...

Niestety, tak się już zwykle składa, że zawodzą rzeczy pozornie najpewniejsze: wstępne uwagi Hertz nie wyszły poza ogólniki, co dziwniejsze — wydawać się mogło, że referent jakby prawie nie pamiętał co przed kilku laty zapisał w pięknych szkicach „Notatnika obserwatora”. Nie będzie więc chyba poczytane za złą wolę sprawozdawcy, jeśli — zamiast utartym zwyczajem streszczać zagajenie zebrania Sekcji Poezji z 7 maja — ograniczy się on wyłącznie do wymienienia jego też zasadniczych; ciekawych tego, co Hertz naprawdę potrafi powiedzieć odsyłając do wspomnianego wyżej tomu.

Tezy da się bodaj ująć w czterech zwiezłych zdaniach. Słonimski jest jedynym poetą swego pokolenia całkowicie dziś dla nas czytelnym. Decydują o tym humanistyczne treści jego poezji i właściwy dobór tradycji. Poeta nie dopuszcza do głosu świata wzruszeń biologicznych, przełamuje konwencję Młodej Polski, uprawia chłodną racjonalistyczną poezję intelektualną, wreszcie — w sposób często trafny widzi zjawiska na ogół niedostrzegalne (kwestia rosyjska). Wszystko to razem wyrażone jest w doskonałej, klarownej formie.

Jak zasadniczo różnie oceniać można twórczość tego samego poety — przekonało przemówienie Zygmunta Lichniaka, który pierwszy zabrał głos w dyskusji. Lichniak twierdzi, że ostatnio wydany tom Słonimskiego ma w znacznej mierze wartość dokumentu, że wiele wierszy da się dziś czytać wyłącznie dla prześledzenia drogi twórczej poety, dla zrozumienia jego konsekwentnie logicznego przełomu ideowego. Zgodnie z podziałem tomu dokonany przez autora, Lichniak mówi oddzielnie o dwu okresach twórczości Słonimskiego. Przed wojną był poeta „nader patetycznym deklamatorym”; zarzuca mu krytyk nie sam patos lecz przesadę tej postawy. Źródło egzaltacji dopatrzyć się można w zbytnej wierze poety w swoje posłannictwo, wierze, iż siła słowa stanie ponad epoką. Słonimski stylizuje się wyraźnie na wodza pokolenia, patosu nie rozładowują nawet akcenty autoironii. Lichniak zarzuca poecie sprzeczność: oto gdy wypadnie Słonimskiemu jakoś zobiektywizować swoje pragnienia — on, który chce żeby go masy czuły — daje wyraz swej niedwuznacznej dla tych mas pogardzie. Lichniak twierdzi, iż przeżycie przez Słonimskiego

mitu wodzostwa nie było wyrazem silnego związku ze społeczeństwem, lecz po prostu dosyć mechanicznie przejętą konwencją. Tego typu skaza odbija się i na formalnej stronie wierszy: krytyka razi ich nadmierna gestykulacja słowna, zbyt odległe asocjacje graniczące niekiedy z alogicznością. Lichniak podkreśla następnie, że druga część tomu odbija korzystnie od pierwszej swą innością polegającą przede wszystkim na tym, że znika cokolwiek wieszczą: Słonimski jest w tych wierszach w śród ludzi. Nie zatracił jednak poczucia hieratyczności słowa poetyckiego, przeciwnie, jak zaświadcza wiersze najmłodsze, Słonimski stale zwiększa kontrolę intelektualną nad materiałem poetycką.

Następnie głos zabierał Ryszard Matuszewski uzupełniając wypowiedzi przedmówców charakterystyką Słonimskiego, jako poety politycznego. Jeśli Słonimski, zwłaszcza jako autor „Okna bez krat” — najbliższy jest nam dzisiaj (sądzi Matuszewski) ze wszystkich Skamandrytów, to przyczyną tego jest jego bardziej bezpośredni stosunek do rzeczywistości — uderzający zwłaszcza na tle modnego w swoim czasie odrotu od realizmu; przyczyną tego jest także uprawianie poezji publicystycznej podczas gdy większość twórców pograża się w estetyzmie. Publicystyka ta — wymierzona w faszyzm, walcząca z krzywdą społeczną — to najmocniejsze karty utworów Słonimskiego.

Po uzupełniających poprzednią, wypowiedziach Grzegorza Lasoty i Jerzego Putramenta — kilka, jak zawsze, ciekawych i wnikliwych uwag dorzucił Jan Kott. Zajmując się poetyckimi parantelami Słonimskiego, Kott szczególnie podkreśla świadome nawiązywanie poety do Mickiewicza: najpierw ściśle dekoracyjne i stopniowo pogłębiane ideologicznie. I słusznie — uważa Kott — sięgnął Słonimski po motto z „Liryk Łozańskich”. Poetyka autora „Okna bez krat” — to nasycony liryzmem tragizm, tragizm podkrotany tym, że Słonimski dostęga bezwzględności zajmowanej przez siebie pozycji liberała. Nie jest nawet przypadkiem, iż wiele swych najcenniejszych i najprawdziwszych wierszy — właśnie wierszy! — zawdzięcza Słonimski wrażeniom z podróży do ZSRR, podczas gdy znany jego reportaż jest błędny.

Utarczki krytyków złagodził zamykający dyskusję dwugłos poetów młodej generacji: Henryka Gawerskiego i Mikołaja Rostworowskiego. Obaj — choć z różnych pojęci światopoglądowych — z jednakową wdzięcznością dla Słonimskiego wspominali wzruszenia, których im jego wiersze dostarczały i dostarczają. (abc)

NICZEGO SIĘ NIE NAUCZYLI...

(Dokończenie ze str. 3)

tolików na Zachodzie. Sami pragniemy, by nasze osiągnięcia były przez nich rzeczowo analizowane i wierzmy, że ich krytyka może być dla nas jak najbardziej pouczająca. Pragniemy jednak, by odcieli się zdecydowanie od tych, którzy niczego nie chcą się nauczyć z doświadczeń polskich i niczego się nauczyć nie mogą, gdyż ani zaślepieni swą reakcyjnością społeczną i polityczną, w przeciwieństwie do p. Lentina, nie mają nawet odwagi spojrzeć w oczy naszej, nowej i trudnej rzeczywistości.

Ostrzegamy jednak również przy tej okazji tak ogół katolików polskich, którzy, najróżnorodniejszymi drogami są poddawani oddziaływaniu zachodniej, kapitalistycznej propagandy i nie raz biorą ją za wyraz poglądów zachodnich katolików. Należymy do tych, którzy wysiłek intelektualny katolików zachodnich najbardziej szanują, śledzą i nie raz rozpowszechniają. Trzeba jednak umieć odróżnić do-

bre ziarno od kłokolu! Ostrzegamy również i tych publicystów katolickich w Polsce, którzy nie zawsze uświadamiają sobie dostatecznie do jakiego stopnia ich wypowiedzi są i będą wykorzystywane jako podkład do anty-katolickich prowokacji. Każdy z nas we własnym zakresie musi się umieć katagorycznie od nich odciąć.

Wbrew nadziejom propagandy zachodniej — problem stosunków między Kościołem Katolickim a światem socjalizmu nie jest ani wyrazem taniego machiawelizmu, ani tym bardziej przejawem naiwnej bezradności. W tej mierze, w jakiej stosunki te są trwałe i wartościowe — są one przejawem głębokich przemysłów tak apostołskich jak i ideowych, budujących naszą postawę katolicką na miarę naszej epoki. Dlatego też tylko ta krytyka, która opiera się o rozumienie tego co epoka niesie w sobie naprawdę wielkiego — tylko ta krytyka będzie dla nas cenna i obowiązująca. W. Kępczyński

Andrzej ODNOWA

ZE SCEN WARSZAWSKICH

Pochwała teatrów z peryferii

UDERZAJĄCĄ cechą bieżącego sezonu teatralnego jest ożywienie na scenach peryferii i w ogóle na mniejszych scenach stolicy. W ostatnim czasie można tu było zobaczyć szereg widowisk nowych lub mało znanych, niejedno interesujące ujęcie inscenizacyjno-reżyserskie, czasem nieprzeciętną oprawę plastyczną.

Wśród teatrów praskich dobrą opinią cieszy się TEATR POWSZECHNY pod dyktando Karola Borowskiego. W jego stałym repertua-

teatrem muzycznym ze stałą orkiestrą, otrzymuje natomiast charakter teatru komedii. Zapoczątkowaniem nowej linii repertuaru stała się premiera bardzo dawno nie granej komedii Fredry „Ożenić się nie mogę” w reżyserii M. Broniewskiej, ze scenografią A. Sadowskiego. Przy poprawnym poziomie gry tym bardziej świetli triumfy — Fredro, Fredro mniej znany, przenoszący do nas jakby atmosferę bulwarowej komedii paryskiej połowy XIX w. i ukazujący z wyjątkową ostrością

boliczna, została nieoczekiwanie ukazana satyrycznie, co obala sens utworu, gdyż gromada ukazana jest przez Wyspiańskiego w taki sposób, że nie może przejść funkcji ani Losu, ani jego zwiastuna.

W sumie wydaje się, że „odmitystyczny” Wyspiański przestał w wysokim stopniu być sobą, lecz nie zdołał stać się prawdziwie i społecznie realistycznym.

Doniosła zmiana zaszła w położonym już po tej stronie Wisły TEATRZE „ATENEUM”: jego dyrektorem objął dotychczasowy reżyser łódzkiego Teatru Nowego, a zarazem autor dramatyczny i laureat nagrody państwowej, Janusz Warmański. I dał na początek swej działalności „Zwycięstwo”, własną sztukę o przemianach wsi, znaną Warszawa tylko z gościnnego występu teatru łódzkiego w Festiwalu Sztuk Współczesnych. („Dziś i Jutro” nr 32 (298)). Nowa premiera jest pierwszym poważnym sukcesem młodego teatru. Gra zespołu, która w poprzednich przedstawieniach budziła jeszcze zastrzeżenia, w „Zwycięstwie” wypadła równo i w pełni przekonująco. Na szczególne uznanie zasłużyło prawdziwe a sugestywne potraktowanie ról najbardziej ryzykownych, takich „czarnych charakterów” sztuki, jak kula Wróbla (L. Dytrych) i jego syna (M. Górkiwicz). Reżyser sam zdobył się na dalsze skróty w swej sztuce i z drobnym zastrzeżeniem, co do trochę rozlanego IV aktu dał przykład wzorowego realistycznego ujęcia zespołowego. W nowych, wytrawnych rękach teatr na Powiślu zdaje się zaczynać nowy okres swego rozkwitu.

Popularny repertuar dla masowego widza wprowadza od szeregu miesięcy TEATR DOMU WOJSKA POLSKIEGO. Po „Wzgórzu 35” Lutostawskiego, sztuce z powstania śląskiego, po sensacyjnej „Tajnej wojnie”, radzieckiej sztuce o walce kontrwywiadu, teatr żołnierski zapoznał nas z nowym szlachetnym typem sensacji — sportowej: „4:0 dla ATK”. Czeska komedia P. Paska nie stanowi zapewne ideału konstrukcji scenicznej ani psychologicznej głębi, bawi jednak widza i bawiąc ukazuje twórcze przemiany w społeczeństwie. W inscenizacji i reżyserii A. Młodnickiego Zespół TDWP zdobył się na grę na bardziej może niż zwykle dotąd wyrównanym poziomie.

Ambitnego zadania podjął się niedawno TEATR NOWEJ WARSZAWY, będący teatrem młodego aktora i młodego widza. Po wcale dobrze „leżącym jego zespołowi” „Poemacie pedagogicznym” w reżyserii M. L. Jabłonkówny, z dekoracjami F. Krassowskiego, z J. Składankiem w roli Makarenki, kierownik artystyczny tej sceny, Zofia Modrzewska przygotowała inscenizację „Mindowe” Słowackiego. Przedstawienie, w którym tkwiło

wiele poważnej pracy zbiorowej miało i staranne opracowanie dramaturgiczne i świetną oprawę scenograficzną i kostiumy (Z. Strzeleckiego), i bogactwo efektów świetlnych itp., zabrakło w nim tylko lekkości i wdzięku poezji. Dążąc zapewne ku ujęciu historycznie wiernemu, wykonawcy grali zamierzalnie sprawy litewsko-krzyżackie w sposób ciężki lecz zarazem koturnowy, przeciągali z reguły wiersz, sianiali się po ziemi i konali w konwulsjach, w ogóle popadali w nieznośną teatralność, nie zdobyli się tylko na jedno: aby porzucając cały i tak wątpliwy realizm gry zewnętrznej, wniknąć w wewnętrzną prawdę postaci, ich uczuć i porywów oraz w piękno młodzieńczego liryzmu Słowackiego, jego wolnościowej, krytycznej i buntowniczej myśli. Najbliższy może temu byli młodzi odtwórcy ról Trojnata i Wojsielka: T. Janczar i S. Żórawski. Przyjemna muzyka E. Dziewulskiego wydawała się pomyślana właśnie do takiego bardziej ciekawego ujęcia.

A więc ambitne zmierzenie się młodego zespołu z dramatem poetyckim nie powiodło się tym razem. A może błędna była po prostu wstępna przesłanka: może niekoniecznie młodzieńczy utwór winien grać teatr młodych?

Całkiem odwrotnie, bardzo współcześnie ujął szekspirowski „Sen nocy letniej” w TEATRZE NOWYM

nego kręka”, a niezrównany Spodek (M. Borowy) oświadczał makabrycznie, umierając: „Nieboszczyk jam, już spokój mam”. Sceny z ziemniakami (Nowosielski, F. dler, Friedmann, Łabudź, Mularczyk) miały, trzeba przyznać, duży ładunek bardzo wyrafinowanego komizmu i w ogóle były najlepszymi partiami niezbyt wyrównanego spektaklu. Podobny jednak do pewnego stopnia ton uwspółcześnienia przejawiał się i w innych partiach widowiska: najwyraźniej w salonowych jakby dialogach Oberona i Tytania, w żartach Puka, w miłosnych cierpieniach i specczkach par zakochanych. Stosunkowo najbardziej konwencjonalnie wypadła para księżca, szczególnie w początku przedstawienia, brzmiałymi momentami wprost żenująco. Również i scenografia M. Jasielskiego przyjemna była tylko w obrazach leśnych.

Teatr na Mokotowie przechodzi ostatnio coraz częściej na światowy repertuar klasyczny. Po komedii Moliera — poetycka komedia Szekspira. Czy skok od operetki ku takim wyżynom na dobre powiedzie się — pokaże przyszłość.

Spacer poprzec małe, przeważnie peryferyjne sceny Warszawy nie zniechęca bynajmniej, przeciwnie, napawa otuchą. Nawet najskromniejsze stołeczne teatry przejawiają godną uznania ambicję. A budują



Scena zbiorowa w lesie ze „Snu nocy letniej” Szekspira w Teatrze Nowym

rze spotyka się prapremiery sztuk obcych, np. po „Pannie bez posagu” Ostrowskiego — świetnej politycznej komedii rumuńskiej Caragiale „Zubiony list”; nie mniej szczęśliwą rękę ma Teatr w klasycie polskiej, reprezentowanej przez Fredrę, Bliźnięskiego, Perzyńskiego, a również w sztukach współczesnych.

Ostatnim przedstawieniem w Powszechnym było grane po całym kraju, lecz w Warszawie po wojnie po raz pierwszy, najgłośniejsze dzieło Goldoniego, „Mirandolina” („Oberżystka”) w przekł. L. Staffa. Reżyser K. Borowski ujął całość bez muzyki w siedem zmieniających się obrazów, które wypełniło bogactwo treści charakterystycznej (wyborna rola kawalera di Ripafatta — T. Chmielewskiego) i satyryczno-społecznej. Znany wdzięk tej komedii przejawiał się nie tyle w roli tytułowej, granej przez solistkę Teatru, J. Martini, ile w pięknej oprawie scenograficznej J. Kosińskiego i R. Nowickiego, dobrze utrzymanej w stylu weneckim, pełnej symetrii i wytwornej prostoty.

Do pełni obrazu działalności tego teatru dodać należy b. starannie na ogół opracowane programy oraz stałe objazdy terenu prowincji. I tym również potwierdza Teatr Powszechny piękną ambicję, zawartą w jego nazwie.

Unia personalna w osobie wspólnego kierownika literackiego J. Słotwińskiego łączy z Teatrem Powszechnym TEATR LUDOWO-MUZyczny. Kierownictwo artystyczne Zbigniewa Sawana uczyniło z teatryku przy Szwedzkiej placówkę, która pracując wśród wielu trudności umiała jednak zabłysnąć co pewien czas robotą teatralną, pełną pomysłowości, dowcipu i dobrego smaku. Zgodzić się natomiast trzeba, że pewne skłonności do konstruktywistycznych skrótów w inscenizacji, reżyserii i scenografii predestynowały ten teatr raczej do średniostwa aniżeli do dzielnicowej i letniej siedziby przy Polnej najbardziej zgadzała się może z obliczem tej sceny.

Po „Szelmostwach Skapena” Moliera (dek.: M. Kiss-Orski, muz.: Z. Wiszniewski), przedstawieniu — wbrew atakom recenzentów — b. jednolitym i pełnym wdzięku w swych aluzjach do stylu commedia dell'arte, ze świetnym W. Kałuskim w roli tytułowej, widzieliśmy tu również w reż. Sawana „Bajkę” Świewłowa, utwór poświęcony młodzieży, pełen poetyckiego uroku. Stopień dwóch piąsaczyn: realnej i fantastyczno-wizyjnej nie całkiem co prawda szczęśliwie powiodło się w przedstawieniu.

Od niedawna nastąpiły w Teatrze Ludowo-Muzycznym istotne zmiany. Po Sawanie, obejmującym na Śląsku dyktando operetki, kierownictwo artystyczne przejął Władysław Hańcza. Teatr przestaje być

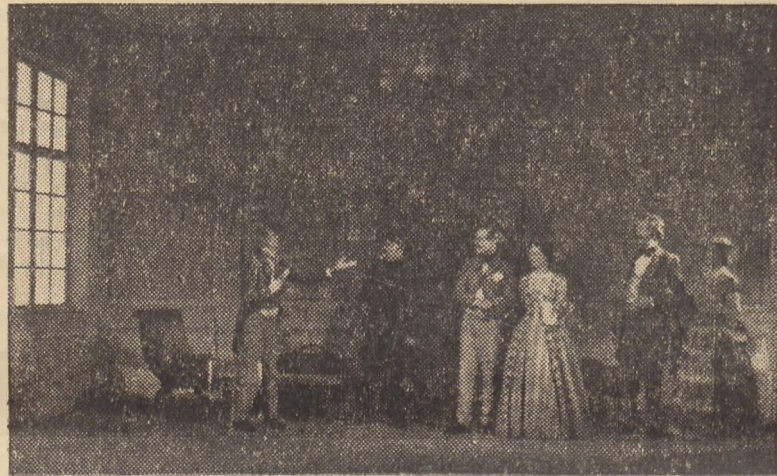
cechy ówczesnej klasy ustępującej i wchodzącej: na tle spraw małżeństwa rodziców i dzieci wystąpiły wyraźnie samolubstwo i hedonizm, obłuda lub cyniczna lekkomyślność upadających ziemian oraz głupota, pewność siebie i snobizm przedstawicieli burżuazji. Użyte w postaci motywów takie realia epoki kapitalistycznej jak zapis pieniężny dorobkiewicza dla żony z wyższej klasy, myślącej zaraz potem o separacji; szantaż, jaki na tle erotycznym stosuje złoty młodzieniec; kłopoty z paszportem i policją niebieskiego ptaka; wreszcie ironiczny happy-end w buduarze hotelowym — wszystko to ukazało nam Fredrę nader nowoczesnego i pesymistycznie oceniającego społeczeństwo tamtego czasu.

Nowa linia działalności Teatru Ludowego stoi pod znakiem tego ciekawego, odkrywczego wznowienia. Obiecujący początek!

PRAGA posiada jeszcze trzecią, mniej znaną scenę, którą użytkuje na przemian z Teatrem Żydowskim Studio Państw. Wyższej Szkoły Teatralnej.

TEATR-STUDIO zaprezentował jako pokaz warsztatu teatralnego, siłami studentów, w reżyserii J. Świderskiego dramat autora rzadko po wojnie granego, Wyspiańskiego tragedię „Kłątwa”. Mimo studyjnego charakteru przedstawienie było ważnym wydarzeniem; próbą sprawdzającą, jak oddziaływa dziś na nas czołowy dramatopisarz Młodej Polski i jak można ukazać współcześnie jego dzieło.

Mimo zapału i siły ekspresji poszczególnych grających i ogólnego niezłego poziomu młodego zespołu — Księżka grał M. Rułka, Młoda — H. Przybylska, Pustelnika — Zb. Roman — mimo pełnej wyrazu w swej prostocie i jednolitości dekoracji A. Wilkomirskiej próbę nowej inscenizacji trudno uznać za udaną. Stylizowany na ludowo język Wyspiańskiego brzmiał sztucznie, tok dramatu podzielonego dość mechanicznie na dwie części, odczuwamy zwłaszcza w pierwszej jako nużący — spora część winy spada tu niewątpliwie na reżyserię, która nie umiała rozłożyć szczęśliwie akcentów statycznych i dynamicznych. Dopiero w drugiej części, kiedy wszystko zmierzano spiesznym ku katastrofie, rosło napięcie, przy czym tragiczną katharsis, w intencji Wyspiańskiego natury religijno-moralnej, związanej z działaniem Przeznaczenia, przesunął reżyser na płaszczyznę społeczno-moralną. Wbrew ogólnoludzkiej intencji poety Świderski zastosował w przedstawieniu współczesny klasowy, kończąc silnym akcentem oskarżenia, które z tłumem kieruje się przeciw niegodnemu — a tutaj w dodatku samolubnemu i oddalnemu od ludu — kapłanowi. Również postać Pustelnika, typowo sym-



Scena w hotelu z komedii Fredry „Ożenić się nie mogę” w Teatrze Muzyczno-Ludowym

— mimo utrzymania tradycyjnej już muzyki Mendelsohna — inscenizator i reżyser R. Ordyński. Taki kierunek inscenizacji wyznaczał już nowy przekład K. J. Gałczyńskiego, przekład, w którym miejscami surrealistyczny humor „Zielonej Gęsi” zdawał się sprzymierzać z żargonem Wiecha. Odgrywający historię Pirama i Tyzbe rzemieślnicy atenci zdawali sobie sprawę z tego, że „miłość z obłędem ma współ-

się już w nowych dzielnicach nowe teatry. Po uzupełnieniu — sprawa paląca — braków w składzie osobowym przez najmłodsze pokolenie aktorskie, można nie wątpić, że wszystkie one trwale podołają podwyższonym ambicjom. Lecz już i teraz zasługują na bacniejszą uwagę krytyki i nie słabnący poklask widzowi.

Andrzej Odnowa

Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

O STATNI koncert Państwowej Filharmonii w Warszawie (16 i 18 maja) przyniósł słuchaczom dwa prawykonywania dzieła Andrzeja Panufnika: „Koncertu gotyckiego na trąbkę koncertującą, orkiestrę smyczkową, harfę i kołty” oraz jego „Uwertury bohaterkiej”.

Dawna muzyka polska dostarcza natchnienia współczesnym naszym kompozytorom dość często — zwykle punktem wyjścia jest tu nawiązanie do jej tematyki. Inaczej postąpił twórca „gotyckiego koncertu”: choć bowiem kilka razy cytuje niektóre dawne tematy, to jednak archaiczność klimatu muzycznego tego koncertu wywodzi się przede wszystkim z inwencji kompozytora, jest więc przezeń niejako przeżyta, nie zaś tylko — mówiąc językiem Słowackiego — „świetnościami dawnych przodków świątna”.

Walory trąbki jako instrumentu koncertującego, zapoznane przez współczesnych kompozytorów (a warto przypomnieć, że Haydn napisał jeden ze swoich najlepszych koncertów właśnie na trąbkę!) wyzyskał Panufnik w pełni, a solista Zygmunt Piórkowski potrafił wykazać słuchaczom możliwości swego pięknego instrumentu. Kunst o ry-

ginalnej instrumentacji sięgnął jeszcze głębiej: „archaizując” użycie harfy, Panufnik wyposaża ją w brzmienie lutni, a kołtom każe imitować rytmicznie temat w części pierwszej i siódmej.

„Koncert gotycki”, to — na wzór dawnych suit — cykl kontrastujących ze sobą części o różnej tematyce, przy czym temat pierwszy powtarza się również w części ostatniej, dzięki czemu koncert ten stanowi zamkniętą, logicznie spójną całość.

„Uwertura bohaterka”, odznaczona pierwszą nagrodą na przedolimpijskim konkursie muzycznym, zawiera — co zresztą sugeruje już choćby tylko literacki tytuł — spory ładunek dramatycznego heroizmu. Utwór to niewątpliwie bardzo dobry, napisany z pasją i zacięciem. Jeżeli coś można by mu zarzucić, to chyba to, że przez cały czas jego trwania (od pierwszego taktu do ostatniego) wskaźnik napięcia wskazuje najwyższy poziom, obniżając się jedynie bardzo nieznacznie. Skutkiem tego właśnie, skala uczuć doświadczanych przez słuchacza nie jest wielka, choć wszystko dzieje się w „wysokich rejestrach” emocjonalnych.

„Rapsodię na temat Paganiniego na fortepian i orkiestrę” Sergiusza Rachmaninowa wykonał Władysław Kędra, któremu doskonale odpowiada ten rodzaj muzyki, co zresztą potwierdziły liczne „bisy”, jakich nie szczędził rozentuzjamentowanym słuchaczom.

Na zakończenie koncertu wykonano zostało „Bolero” Mauricego Ravel'a. „Bolero” to nie taniec — mówił Ravel — lecz życie”. Moglibyśmy do tego dorzucić, że to także... doskonała lekcja instrumentoznawstwa dla mniej „umuzycznionych” słuchaczy. Niestety, nawet chyba najmniej wtajemniczeni spośród nich zdołali się napewno zorientować, że — poza nielicznymi wyjątkami — coś nie-dobrze się działo w królestwie instrumentów dętych. Nie pomogły wysiłki niezawodnego Witolda Rowickiego — orkiestra, najwyraźniej speszona, prosto „nie kleiła się”, w dodatku brak zestrojenia poszczególnych grup instrumentów powiększał wrażenia „zorganizowanej dezorganizacji”. I kłóży się był spóźniony tego po orkiestrze, która tak ładnie brzmiała w pierwszej części koncertu i tak dobrze potrafiła towarzyszyć Kędrze w „Rapsodii” Rachmaninowa?

C. Krzewski

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki, Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p tel 880 71,880 26

Zamówienia i płaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 1,80 złotych Kwartałnie 5,40 złotych.

Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3, Zam. 1502. 3-B-19130.